Nr. 25 (1225). Warszawa, 5 (18) Czerwca 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

„ **przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym i półrocznym przypominamy termin przedpłaty.

POLITYKA.

W KOMISYI.

Uchwalone już przez Izbę wyższą pruską prawo, ograniczające osadnictwo wewnętrzne polskie w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech zachodnich dostało się do Izby niższej, która, w zasadzie potrzebę jego uznając, odesłała je do komisyi. W tym wydziale roboczym Izby większość mają stronnictwa zachowawcze, półzachowawcze oraz narodowo-liberalne, od tamtych jeszcze nikczemniejsze, spodlałe już zupełnie wskutek bezwyznaniowości politycznej a żarłoczności pangermańskiej. Ze stronnictw lewicy połączenie rykertowskie bez osłon ujawnia swą nieprzychylność dla Polaków, a rychterowskie, nigdy wraz z większością nie ujadając, nigdy też jednak niedało się unieść choćby najlżejszemu prądowi humanitaryzmu i sprawiedliwości, ilekroć z niego skorzystaćby mieli Polacy. Znaczenie socyalistów w komisyi jest bardzo nikłe. Wchodzące tu jeszcze wgrę centrum, od śmierci Windhorsta rozsypujące się coraz bardziej duchowo, pozbywające się stopniowo indywidualności politycznej na rzecz wyłączności politycznej, na rzecz wyłączności kościelnej, a od czasu walk wyborczych na Śląsku zagniewane na Polaków, nie ujmie się też za nimi ani w komisyi, ani w Izbie, gdy przyjdzie do stanowczego głosowania. Będzie może powściągliwszem od innych, ale za innymi pójdzie. Tak więc cała obrona, cały opór, bo już nie nadzieja — ciężarem swoim spada na posłów polskich, zasiadających w komisyi.

Nazwiska dwóch z pomiędzy nich dotychczas przyniosły nam sprawozdania dzienników berlińskich. Walkę z krzywdą dogmatyzowaną, z gwałtem przekuwanym w prawo prowadzą pp. Dziembowski i Skarżyński, pierwszy przedstawiciel intelligencyi, drugi — warstw ludowych. Spełniają oni obowiązek swój uczciwie i roztropnie, nawet umiejętnie. Korzystają, o ile przewodniczący pozwoli, ze słabych stron logiki rządu i stronnictw z nim trzymających, podchwytują w lot sofizmata, którymi zła sprawa bronić się musi, wytykają konstytucyjny gwałt utajony w projekcie rządowym, niewspominającym nawet o konstytucyi, jak gdyby cała niegodziwość prawodawcza już na pierwszy rzut oka jawnie jej nie gwałciła. Stając nawet na gruncie litery projektu, p. Dziembowski zaproponował to, co powinno było samo wyjść z każdej głowy pruskiej, gdyby zamiast nienawiści rządziła nią powaga pracy prawodawczej, logiki umysłów choćby tylko prawniczych. Poseł nasz wskazał mianowicie potrzebę zbadania: jakie też były rzeczywiste stosunki posiadania ziemi między obu narodowościami w Poznańskiem w latach 1825, 1850, 1885 i 1903. Wszystkie te daty dotyczą pewnych momentów historyczno-prawodawczych, których tu wywodzić nie potrzeba. Liczby same przekonałyby o fałszowaniu faktów, jakoby wołających o gwałt dla ocalenia niemiectwa na Ostmarce zagrożonego przez uciskanych.

Komisya prawdopodobnie wniosek odrzuci, bo najpierw zmusza on komisarzy do pracy, która ich znuży a nieprawość opóźni, a potem — nieczyste sumienie woli zawsze mroki fałszu lub nieświadomości, niż światło, jakie daje wiedza.

Znienawidzony przez samo prusactwo i jakoby już na wizytę p. Lucanusa skazany Hammerstein przeszedł samego siebie. Wbrew temu, co perorował w Izbie, teraz w komisyi przyznał, że projekt gwałci konstytucyę, ale jest potrzebny, a uchwalić go można, nie zmieniając *ad hoc* konstytucyi. Polacy się mnożą, Polacy się dorabiają, Polacy wypierają Niemców, Polacy myślą o oderwaniu dzielnic wschodnich od Prus. Konstytucya zatem nie powinna być przeszkodą wobec takiego niebezpieczeństwa. Trzymając się litery konstytucyi, możnaby ją rzeczywiście zmienić na potrzeby danego wypadku, lecz po co czas tracić, gdy milczące zezwolenie przedstawicieli narodu zawrze się już w samem uchwaleniu prawa? Jeden z patryotów a mędrców prawodawczych, stwierdzając fakt niekonstytucyjności, zawołał: Co, konstytucya? Jaki jej cel? Czy może nim być co innego, nie dobro państwa? Jeżeli co dobru temu zagraża, to trzeba konstytucyę uzupełnić prawem, ocalającem dobro. W niebezpieczeństwie ratować się trzeba czem można, nawet wbrew wszelkim konstytucyom. Te popisy logiki oratorskiej dostatecznie charakteryzują komisyę i dają wróżbę nieomylną co do tego, jaka w niej ostateczna uchwała zapadnie. Nigdy za czasów Bismarcka nie było takiej zapalczywości, takiego rozpasania, jak dzisiaj.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najważniejsze we wszelkiej wojnie rozstawienie wojsk na jej widowni ze strony japońskiej wydaje się teraz dopiero dokonanem. Od 1 maja, od przedarcia się przez Jalu, ubiegło przeszło 5 tygodni (zanim zgromadzić zdołano na lądzie Mandżuryi tyle wojska, ile wymagał plan pierwotnie powzięty, a wyraźnie zaznaczony zajęciem Fŏng-huang-czengu (8 maja). Plan ten zakreślił półkole od Sa-ma-tsy na północy do Sjuenu na południu, a konieczność takiego zasięgu narzucała się każdemu oku, wpatrzonemu w mapę geograficzną z jaką taką pilnością. D. 7 b. m. Japończycy zajęli pierwszą z tych miejscowości, d. 8 b. m. drugą, pierwszą mniejszemi, drugą większemi siłami, podobno całą dywizyą. Posunęli się naprzód i w środku, od Fŏng-huang-czengu, przyczem albo nie potrzebowali zdobywać żadnego wąwozu, albo też jeszcze nie dotarli byli do tego, któryby im mógł drogę do Liaojangu zagrodzić, zarówno przez obwarowanie natury, jak sztuki. Teraz nastaje nowy moment: poruszanie się linii bojowej ku zachodowi w tempie żywszem na obu krańcach, niż w środku. Japończycy przewidywać teraz powinni opór coraz tęższy w miarę zbliżania się głównego pnia pomysłów obronnych gen. Kuropatkina, do Liao-jangu. Ważnym przedmiotem sporu strategicznego, toczonego zapomocą kul i trupów miała być przełęcz motieńska. Nie prowadzi przez nią żaden trakt, żadna nawet droga, dająca się odrazu zużytkować dla pochodu, ale samo zajmowanie jej przez Rosyan mogłoby im umożliwić uboczne natarcie na postępujący szyk japoński, jeżeli stoki gór dadzą się zużytkować dla ruchów piechoty.

Pod Port Artura Japończycy zbliżyli się podobno już na 10 mil angielskich. Sprowadzają działa oblężnicze, wyławiają wciąż miny, ale nie słychać nic o świeżych wojskach, te zaś, które dotrzeć mogły pod samą warownię po 26 maja, w żaden sposób na przeprowadzenie prawidłowego oblężenia wystarczyć nie mogą. Roboty podkopowe podobno już są w biegu; zapewne i pozycye przedczołowe musiały ściągnąć na siebie ogień i ruch mas japońskich, ale o działaniach na samym krańcu półwyspu nie wiemy nic godnego wiary. Cały półwysep Liaotuński znajduje się w strategicznem posiadaniu Japończyków. Niuczuang — Inkau jest blokowany, pobrzeża ostrzeliwane, w pachwinie na lądzie odbywają się utarczki, dopóki posunięcie wojsk gen. Nodzu od Sju-janu, gen. Oku od półwyspu Liaotuńskiego nie wywoła większego starcia, które przewidywać należy w górnym biegu rz. Bi-li-ho(he).

Ludzkość, z jaką Japończycy obchodzą się z jeńcami, rannymi i chorymi, skłoniła gen. Kuropatkina do nakazania podobnegoż obejścia się z Japończykami, wziętymi do niewoli i zabranymi z pola bitwy. *Torg.-promyszl. gazeta* stwierdza, że żołnierz szanuje takiego nieprzyjaciela, jakim się okazuje Japończyk, pielęgnujący starannie chorych a obchodzący się więcej, niż po ludzku z jeńcem.

Gazety angielskie rozgłosiły, jakoby Turcya pozwoliła Rosyi na wyprowadzenie floty wojennej z m. Czarnego. Urzędowe zaprzeczenie ze strony rządu tureckiego zbija tę pogłoskę.

W Izbie francuskiej d. 10 b. m. przyszło do bitwy. Zaczęła się od p. Valle, ministra sprawiedliwości, skończyła na p. Combes'ie. Valle wprowadził dyktatoryalnie jakąś taryfę sądową, wielce uciążliwą dla obywateli; bronił się jak żak, spędzając winę własną na swego poprzednika. Opozycya się rozgrzała, padł głos o kartuzach. Owe 2 miliony za pozostawienie ich przy życiu — znowu zabrzęczały. P. Combes nie chciał wyjawić sprawcy szczodrobliwości, p. Millerand, dawniej członek, dziś wróg rządu, przeskakiwał z nogi na nogę i także nic nie powiedział, p. Pichat ośmielił się zawołać, że nie chęci do uszczknięcia milionów zbrakło, ale samych milionów. Ostatecznie Izba wybrać miała d. 14 b. m. komisyę z 33-ch do zbadania projektu łapówki.

Rocznica krwawej nocy 11 czerwca przeminęła w Białogrodzie spokojnie. Pozwolono modlić się za Leniewiczów, ale nie za Obrenowiczów; dla równowagi jednak postanowiono spalić, zniszczyć wszystkie pamiątki morderstwa. Koronacya w Życzy — wspaniała odbędzie się w końcu lata.

Kwestya armeńska zaczyna się stawać europejską; kwestya bałkańska wchodzi znowu w stan zapalny. P. Demeryll, pełnomocnik cywilny rosyjski, podał się do dymisyi.

W Bernie szwajcarskiem niejaki Ilnicki, Jelnicki, Iliński, dokonał zamachu na posła rosyjskiego, Szadowskiego.

Izba deputowanych w Prusiech przyjęła nowy projekt prześladowczy: wprowadziła urzędników skarbowych Księstwa i Prus Zachodnich do sejmików powiatowych i sejmu prowincyonalnego, aby liczbą pruską zgnieść głosy polskie.

Król Edward d. 24 b. m. przybywa do Kielu. Czego on tam chce? czego chce od niego ces. Wilhelm?

Francya dobija układów z Hiszpanią o Marokko i drogę żelazną pirenejską. — Zatarg o porwanego Amerykanina Perdicarisa jeszcze nie uśmierzony.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

IX. Wąwozy. Legenda. Przełęcz.

Słońce wyjrzało na chwilę z za chmur i czarny wąwóz ze spienioną rzeką na dnie, ubrany czerwoną, żółtą i blado-zieloną roślinnością jesienną, zagrał pysznemi barwami. Możeby mię nawet zachwycił, gdybym nie widział przedtem w Japonii krajobrazów podobnych, a o wiele wspanialszych.

Biedny kraj, pokrzywdzony pod wszystkimi względami!

— Słuchajcie, ton-sa, czy wy znacie obce strony? Czy bywaliście za granicą?

— Nie, panie, znam tylko moją ziemię, Koreę... A pana ojczyzna czy daleko stąd? Czy pan jest cokolwiek Rosyaninem?!

— Pole... Pole!.. — powtórzył kilkakrotnie. — Nie znam takiego narodu... Nigdy o nim nie słyszałem!..

Wyłożyłem mu małą lekcyę geografii. Słuchał uważnie i nawet przytakiwał:

— Orso!.. Orccha!.. Yes!..[1]

Wreszcie wygłosił z niezmierną powagą:

— Anglicy są bogatym i potężnym ludem, ale i w Korei ładnie, kiedy zakwitną kwiaty i zazielenią się pola...

Umilkłem, strapiony tym nieoczekiwanym wnioskiem.

Wązką ścieżyną, wijącą się tuż nad przepaścią, omijaliśmy ogromny garb góry, wyginający się w pałąk wąwóz i rzeczułkę. Po drugiej stronie wznosiły się wysokie i zębate urwiska; omszone ich głazy nawisły nad pędzącą w dole wodą, jak arki. Zrozumiałem powód, dla którego przeprawiliśmy się na prawy brzeg rzeki — po tamtej nie byłoby przejścia, a w czasie wylewu dolina zupełnie nie do przebycia. Ponieważ ładunku mieliśmy mało, ma-phu skracał sobie drogę ubocznemi ścieżkami. Nie gniewałem się o to, gdyż miałem sposobność zajrzeć w zupełnie głuche, nieodwiedzane jeszcze przez nikogo kąty Korei.

Znowu spuściliśmy się w łożysko potoku i przebyliśmy go po całym szeregu mostków, rzuconych z ławicy na ławicę. Widać opodal, na lewym brzegu, wioskę z ładną świątynią na wierzchołku góry, dołem wije się mała rzeczułka Sambe, a wieś zwie się Samban. Znalazłem ją na jednej z map, nawet dość dobrze oznaczoną na zachód od wielkiej, Genzańsko-Seulskiej drogi, na wschodnim stoku głównego łańcucha górskiego, niedaleko od jego grzbietu. Ale nie znalazłem ani śladu rzeczki Kin-ng i Sam-be oraz ani śladu naszej drogi.

O wiosce Sam-ban opowiedziano mi już w Seulu następującą legendę:

„Bardzo dawno, lat więcej niż 150 temu, rządził w Korei król Ją-mią-dzo *). Właściwie nie był on królem, lecz ojcem królewskim (tà-uań-guń) małoletniego, panującego Tha-dżio. Był to bardzo srogi król (narai). Gdy zachorował i, radząc się rozmaitych lekarzy, dowiedział się od jednego, że może się wyleczyć, spożywając codzień piersi młodej dziewczyny i chłopięce wnętrzności, kazał sobie je dostarczać do dworu. Tego już lud nie mógł wytrzymać. powstał, króla wypędził i, doścignąwszy uciekającego w miejscowości Hau-bulang. o 200 (? 280) li od Seulu, tam gdzie zaczynają się wąwozy, wojsko jego zniósł i samego zamordował. Lecz zamordował go dalej już za górami o 50 „i" od Haubulang we wsi Sam-ban. Tam leży ukamienowany pod kupą głazów, tam stoi obecnie Tà-uań-guń'ska świątynia." (Seul, 1903 r.).

Starałem się wykryć historyczne podścielisko tej legendy i z zestawienia dat i nazwisk pozwalam sobie wnioskować, iż urosła ona na tle następującego, prawdziwego zdarzenia:

„...Po śmierci Kią-dzon'a, który nie zostawił potomstwa, wstąpił na tron korejski w 1723 r. brat nieboszczyka, Ją-dzo, wbrew życzeniu znacznej części szlachty korejskiej. Stąd wynikły okrutne prześladowania licznych przeciwników królewskich, intrygi i rozterki. Przedwczesny zgon starszego syna zmusił Ją-dzo do naznaczenia następcą tronu swego drugiego syna Dzanhŏn. Książe odznaczał się wybitnemi zdolnościami, szlachetnością i wzniosłością charakteru. On pod wielu względami nie podzielał zapatrywań ojca, opierał mu się i został z jego rozkazu zamordowany. Aby jednak krew królewska nie została przelaną, zamknięto go w drewnianem pudle i zamorzono głodem. Nazawsze pozostanie tajemnicą dramat, jaki rozegrał się między ojcem a synem. Ją-dzo tłomaczył swój postępek koniecznością usunięcia od władzy człowieka, który marzył niby o zawojowaniu przez Koreę Chin i wypędzeniu z Pekinu Mandżurów. Ale mogła to być baśń stworzona dla uspokojenia poruszonego niezwykłą zbrodnią dworu pekińskiego, który traktował Koreę, jako swego wasala.

Król synobójca przekształcił się z biegiem czasu w ludożercę-dzieciobójcę.

Oba podania są wielce charakterystyczne dla korejskich stosunków państwowych.

---

*) „Ją-dzo," gdyż „mią" jest cząsteczką dodawaną często do imion w znaczeniu: zwan.

Myli się jednak pierwsza legenda, kończąc panowanie okrutnego Ją-dzo powstaniem ludowem, ucieczką i ukamienowaniem. Ją-dzo panował szczęśliwie, umarł spokojnie i nawet pochowany jest nie w Sam-ban, lecz w miasteczku Jan-cziu o 25 wiorst (50 i) od Seulu, mimo którego przejeżdżałem następnie, gdyż leży ono na tej samej drodze Genzańskiej.

Nie dziwię się jednak tym niedokładnościom, gdyż legendę opowiadał mi jeden ze szlachciców korejskich (jań-bań), którym Ją-dzo dał się dobrze we znaki. Przecież to on, szukając u prostego ludu poparcia w walce z możnowładztwem, złagodził niektóre męki i kary, zabronił piętnowania rozpalonem żelazem i opalania ogniem skazańców, zakazał wypędzania z granic państwa rodzin więźniów stanu, a co najgorsze, zmniejszył daninę z niewolników do jednej sztuki tkaniny rocznie i zabronił ściągać jej z niewolnic*). Tego było w swoim czasie aż nadto dosyć, aby go posądzić nietylko w Korei o... ludożerstwo.

Kiedy przejeżdżałem mimo wsi Samban, nie znałem związanej z nią legendy i nie starałem się jej zwiedzić. Zatrzymaliśmy się na wypoczynek o milę dalej, w małej wioseczce, wśród otoczonej malowniczemi skałami kotlinki. Stąd już widać było o jakie półtory mili (geograficz. **) przełęcz, zasnutą długimi fałdami wyniosłości. Droga ku niej wiodła z początku brzegiem strumyka, a następnie krętym i stromym, gliniastym suchodołem wśród złomów i zarośli. Wejście było przykre, ale niebardzo wysokie. Myślę, iż wznosiło się nie więcej, jak na 800 stóp nad łożyskiem potoku.

Było tu cieplej i zaciszniej. Nad drogą zwieszały się miejscami piękne krzewy i drzewa liściaste, ale gdyśmy stanęli na przesmyku, znowu ogarnęła nas wichura lodowa. Na szczęście deszcz przestał padać i na stokach zachodnich zamajaczyły blade plamy słoneczne. Klucze gęsi leciały po pod chmurami, kierując się na południe. Ma-phu pokrzykiwał na konie w dole pod nami, drapiąc się powoli w górę krętym jarem. Usiedliśmy pod wielkiem drzewem ofiarnem, obwieszonem szmatkami i sznureczkami. Stało w pobliżu rozdroża, gdzie nasza ścieżyna łączyła się z szeroką, torną drogą, wybiegającą niespodzianie z przepaści od wschodu. Ton-sa nie mógł, czy nie chciał mi objaśnić, co to za droga; przypuszczam, że nie była to główna droga Seulska, gdyż nie towarzyszył jej telegraf. Spotkałem go znowu dopiero koło samej stolicy.

Grzbiet przełęczy miał kształt wielkiego garbu, zsuwającego się równie spadzisto w obie strony. Grunt gliniasty suto porastała wysoka, górska trawa, szeleszcząca niemiłosiernie w podmuchach wiatru. Byliśmy co najmniej na wysokości 5,000 stóp. Wokoło wszędzie, gdzie okiem spojrzeć, wznosiły się jałowe, bezleśne szczyty. Zamykały one widnokrąg nużącym, brzydkim pierścieniem, pozbawionym rozległego widoku i wszelkiego czaru.

Zejście odbyliśmy w znacznie dogodniejszych warunkach, gdyż pilnowaliśmy się szerokiej drogi. Zresztą innej tam nie było. Zaraz za grzbietem przechodziła ona przez wielki wyłom w starożytnym murze, który biegł po zboczu w poprzek doliny. W głębi widać było zrujnowane budowle, cały rząd białych i malowanych ścian, nakrytych rogatymi dachami.

— Co to?

— To Pel-czang.

— Świątynia?

— Nie!

— Twierdza?

— Nie!

— Więc cóż tu było?

— Tu mieszkali urzędnicy! — odpowiedział po długim namyśle ton-sa.

Ale na opowiedzenie, co robili ci urzędnicy i po co tu siedzieli, nie starczyło już niby... jego angielszczyzny.

Od Pelczangu idąc wciąż w dół, dostaliśmy się do małej rzeczułki, która już należała do wodozbioru zachodniego. Minęliśmy ubogą wioszczynę bez pól, bez stert zboża, otoczoną jedynie ogrodami sałaty i wyszliśmy na obszerną, trawiastą dolinę.

Wieczór zbliżał się, słońce na króciuchną chwilkę ukazało się w wylocie doliny, w czerwonem zarzewiu zachodu i rzuciło posępną, miedzianą łunę na żółte, kołyszące się trawy bez końca i półkole szarych szczytów, okalających je z trzech stron. Czwarta tonęła pod słońcem we mgle i świetle zorzy.

Zatrzymaliśmy się w marnej, górskiej wioseczce, pełnej dymu, gdyż gotowano właśnie wieczerzę. Podgrzewane z dołu przy tej sposobności domy wyglądały, jak długi szereg węglarskich mielerzy.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) Dmitrewskij: „Zapiski Kigoro," str. 250—252.

**) Mówiąc o milach, mam zawsze na myśli mile geograficzne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Znowu bezrobocie i przednówek. — Nadzieja w zarządach miejskich. — Czy nie zwodnicza? — Energia ojców Kutna i Dobrzynia. — Kombinacye chemiczne rajców Sandomierza. — Odczyty na prowincyi. — Los społecznika w Skępem. — Kartka z dziejów oświaty w Zagłębiu Dąbrowskiem. — Dumania z tego powodu. — Projekt korporacyi pisarzy gminnych.

Sprawa zaradzenia strasznej klęsce bezrobocia przymusowego całych tysięcy robotników, o której pisałem w zeszłych rachunkach, zapłonęła słomianym ogniem na szpaltach prasy warszawskiej i zgasła bardzo prędko. Kilka ogólnikowych i dyletanckich artykulików wyczerpało ją w zupełności, w dodatku krótko i stanowczo: ten udzielił rad zdrowych obywatelom miejskim, ów kilka łez uronił nad niedolą ludzką, tamten bąknął coś nie coś o kryzysie, cały chór zaśpiewał kantatę na cześć plutokracyi łódzkiej, bawiącej się przy tej okazyi w filantropię — ot i wszystko. Ani jednego głosu fachowego, zestawiającego klęskę bezrobocia cyfrowo, ani jednej próby poważnego obrobienia kwestyi nie znaleźliśmy jednak.

Z boku ledwie można wiedzieć o tem np., że pomimo wielkiego hałasu i gwaru, Warszawa mając pieniądze nie wie, co z niemi zrobić, gdyż żadnego planu robót publicznych i melioracyjnych nie przygotowano. A więc w sercu kraju — Warszawie nawet tej paliatywy, jaką byłyby na szerszą skalę podjęte roboty publiczne, mogące zatrudnić część rąk, dziś bezczynnych, nie prędko się doczekamy. Cały zaś ciężar niesienia pomocy tysiącom ludzi leży na naszej filantropii tańczącej i na łasce plutokracyi. Z prowincyi tymczasem nadchodzą smutne wiadomości, zmniejszenie produkcyi w fabrykach Lodzi, Częstochowy, Zawiercia i Sosnowca wciąż postępuje, wsi grozi przednówek, cięższy w tym roku, niż zwykle z powodu nieurodzajów, płaca robocza spada do niemożliwości. W Świętokrzyskiem, jak donosi *Gazeta Kielecka*, zarobki półrublowe spadły na 15-kopiejkowe. Zmiany na lepsze trudno przewidzieć.

Czy i tam ma pośpieszyć filantropia i jałmużna?

Kur. Codzienny pokłada wielkie nadzieje w zarządach miejskich, które zapewne, według jego przypuszczeń, wystąpią z szeregiem robót. Ja—przyznam się—nie podzielam tej wiary. A zwątpienie moje wzmacniają wiadości o takiem np. Kutnie, które kosztem dwudziestu tysięcy rubli rozszerza coprawda ogród spacerowy, lecz za to nie może zdobyć się na więcej, niż dwie studnie, co wobec 12 tysięcy mieszkańców, niesfornie potrzebujących wody, ma być podobno zbyt mało; i nie pomyśli również o porządnej rzeźni, o jakiem takiem oświetleniu, któreby zastąpiło dzisiejsze rzadko rozsypane latarnie, co ludziom poetycznej natury, jak np. korespondet miejscowy do *Ech Płockich*, wydają się podobnemi do błędnych ogników, i nie poprawi wreszcie chodników, na których mieszkańcy łamią ręce i rozbijają nosy.

Albo np. taki Sandomierz, gdzie miasto nie może zwalczyć monopolu rzeźników miejscowych, tyranizujących swych nieuprzywilejowanych odbiorców „okropnem mięsem, sprzedawanem po niemożliwie wysokich cenach," toż samo miasto ma coprawda piękne tradycye historyczne, ale nie ma za to zupełnie studzien: wodę do picia mieszkańcy czerpią z podmiejskich źródeł i stoków, do których spływają ze ścieków miejskich przeróżne płyny, z wodą bardzo daleko spokrewnione. A trzeba wiedzieć, że to miasto usiłuje dążyć za postępem czasu, jak to poucza historya zbiornika nieczystości za więzieniem miejskim, opowiedziana przez korespondenta *Gazety Radomskiej*.

Przed kilku laty — czytamy — gdy urządzono złodziejom klozety na wodzie, zapewniono uroczyście, że odpływ będzie bezwonny i kryształowo czysty. Specyalista od owej ciekawej przeróbki odchodów na płyn kryształowo-bezwonny w zapale posunął się do twierdzenia, że ciecz owa może być przydatną bodaj do... picia. Dziś jednak i wzrok, i powonienie gwałtownie zaprzeczają prawdziwości owych zapewnień. Ha, cóż, ojcowie miasta mieli jak najlepsze chęci: uwierzyli, przystąpili do pracy, no, a że losy zrządziły inaczej...

Nie przekona mnie również o energii municypalności naszych, stan arteryj komunikacyjnych Dobrzynia nad Wisłą, których pono jedynymi składnikami są: dziury, wyboje, kamienie i błoto, a nader ważny dla ludności, zjazd ku Wiśle, wykończony po kilkodziesięcioletniem oczekiwaniu — mógł służyć przez całe pół roku, tj. przez czas, niezbędny dla wycofania przez przedsiębiorcę kaucyi, złożonej w kasie gubernialnej. Obecnie jest to, jak donoszą *Echa Płockie*, ruina niebezpieczna i, co gorsze, nie do poprawienia, gdyż wobec jakiegoś fatum, wszelkie potęgi są bezsilne. W sierpniu np. r. z. na skutek skarg mieszkańców osobiście zjazd zrewidował p. gubernator płocki, a obejrzawszy, nakazał go poprawić w ciągu dwóch miesięcy; od tej radosnej chwili trzy już kwartały upłynęło, a zjazd podobno nienaprawiony grozi zupełnem rozwaleniem nasypu i coraz niebezpieczniejszym jest dla życia i zdrowia mieszkańców. *)

*) A dalej, czyż nie wstyd np. takiemu Włocławkowi, że zarząd jego nie potrafi dać sobie rady z jedną fabryką, dotkliwie szkodliwą dla mieszkańców? Pobliska fabryka celulozy wszystkie trujące odpadki wypuszcza wprost do Wisły, skutkiem czego woda przy brzegu włocławskim jest nie do użycia, a przytem niemożliwa do kąpieli, gdyż kąpiący się dostają dokuczliwych chorób skórnych, zaś odparzany lód utrudnia komunikacyę. A ojcowie miasta, mimo skarg mieszkańców, siedzą cicho.

Czyż takie fakty, począwszy od milionowoj Warszawy, a kończąc na maleńkim Dobrzyniu, nie mogą wytworzyć zwątpienia o energii ojców miast naszych?

Możebym więcej jeszcze ufał w energię i dobre chęci jednostek przedsiebiorczych i wogóle inicyatywy prywatnej. Pewne ulgi w formalistyce urządzenia odczytów i pogadanek, pozwoliły niektórym energiczniejszym grupom i osobistościom zakrzątnąć się żywo koło pracy na tem polu. Pisałem już o czynnościach oddziałów warszawskiego Tow. hygienicznego w Łodzi i Kaliszu. Dziś mamy do zanotowania nowe placówki. W Tomaszowie Rawskim w Zielone Świątki rozpoczął się szereg odczytów i pogadanek z dziedziny medycyny i hygieny; pierwszy mówił dr. Wł. Sękowski „O ospie.“ Na wstępie prelegent zwrócił się do licznie zgromadzonych słuchaczy, przeważnie ze sfery robotniczej, pouczając ich o celu podobnych odczytów. Mniej szczęśliwie powiodło się podobno w Częstochowie, gdzie odczyty na razie nie wielu liczyły słuchaczów, lecz i tam spodziewają się lepszych rezultatów stopniowo, do czego upoważnia — według *Tygodnia* — zwiększenie się już na drugim odczycie liczby obecnych z 80 na 120.

Na bardzo dobry sposób wpadł p. St. Brzozowski, członek zarządu Towarzystwa ogrodniczego, który pewnej niedzieli przyjechał do Łowicza i tam na Starym Rynku, stanąwszy pod latarnią, wypowiedział dwie pogadanki z ogrodownictwa i owocarstwa, zarazem zaś na miejscu dla zachęcenia włościan na przyszłość rozdał im trochę warzyw i roślin bezpłatnie.

Fakty te dowodzą wymownie, ze są wśród nas jednostki przedsiebiorcze o śmiałej inicyatywie i niepożytej energii, co w miarę możności i otwierania się nowych sposobności pracy społecznej stają ochoczo do niej, wytężając siły i energię dla dobra współobywateli.

A praca to niełatwa. Dla zobrazowania trudności, na jakie często bywa narażona jednostka, chcąca służyć ogółowi, przytoczę tu dwa fakty w kraucowo od siebie oddalonych punktach kraju naszego i wśród zupełnie różnego otoczenia.

W Skępem, jak donoszą *Echa Płockie*, duże zasługi koło rozbudzenia życia społecznego wśród mieszkańców położył niejaki p. B. Między innemi, założył on Towarzystwo kredytowe i przez czas jakiś był jego dyrektorem. Po usunięciu się ze stanowiska, pozostał energicznym członkiem i stałym uczestnikiem wszystkich zebrań. Znając dobrze stan rzeczy i rozumiejąc potrzeby, B. często występował z opozycyą przeciwko różnym projektom nowego zarządu. To zjednało mu wrogów; rozpoczęła się agitacya, później walka, zakończona wreszcie usunięciem B. z Towarzystwa. Za powód większość głosujących podawała, że usunięty „naszą wiarę poniewiera.“ Objawem zaś tego poniewierania było sprzeciwianie się B. oddawaniu dywidendy na biednych miejscowych, lecz domaganie użycia jej na ulepszenia w towarzystwie, lub cele ogólniejsze, jak np. pomoc powodzianom. Inteligenci zaś „wyrzucenie“ to motywowali stałą opozycyą usuniętego. Dobre pojmowanie życia zbiorowego!

Smutniejszy o wiele fakt zachowania się ogółu względem spraw społecznych mam do zanotowania w Zagłębiu Dąbrowskiem. Tak go opowiada *Kuryer Sosnowiecki*:

Z inicyatywy nauczyciela miejscowego, popartej przychylnie przez Zarząd i inteligencyę kopalni „Saturn“ pod Sosnowcem, powstały kursy wieczorne dla robotników analfabetów. Przed otwarciem kursów spodziewano się licznego napływu słuchaczów z pośród dwu tysięcznego tłumu górników miejscowych; to też można sobie wyobrazić zdziwienie i rozczarowanie ogólne, gdy zjawiło się tylko trzech ludzi, ale za to ogromny tłum wyrostków, kobiet, dzieciaków i nawet dorosłych mężczyzn zebrał się za oknami i tam gwizdaniem, śmiechem, hałasami i biciem w ramy okienne starał się uprzyjemniać tę pierwszą lekcyę. Po miesiącu gorliwej agitacyi ze strony nauczycieli, wciąż zgłaszało się bardzo niewielu, pomimo że każdy, przybywający do szkoły, dostawał darmo kajety, a nawet jeżeli był biedniejszy — i książki. Liczba zapisanych doszła do 20, z których kilkunastu po dostaniu kajetów, a kilku i książek, nie zgłosiło się więcej. W ciągu następnych miesięcy przybyło znowu kilkunastu, wśród których ledwie kilku było analfabetów, inni zaś chcieli sobie tylko „przypomnieć.“ A przytem, z pośród zgłaszających się, wielu wciąż ubywało pod naciskiem drwin i wymyślań ze strony ogółu rzeszy robotniczej. Do świąt Wielkanocnych dotrwało 9 uczniów, a po świętach liczba ta zmalała odrazu do 5.

Przyczyną tej niebywałej niechęci do oświaty wśród warstwy robotniczej obok dziwnego uprzedzenia, że na starość wstyd jest brać się do książki, była nieufność i niechęć względem właścicieli i zarządu kopalni. Robotnicy wprost stawiali kwestyę w ten sposób, że nie wierzą w dobre chęci kopalni przy otwieraniu szkoły dla dorosłych: „Coś oni w tem mają pierony,“ kiedy ludzi do nauki „manią“, nawet na książki i kajety — twierdzili górnicy.

Obrazek ten świadczy wymownie o strasznym rozdźwięku, jaki panuje pomiędzy dwoma rodzajami pracowników: inteligencyą i zwykłymi robotnikami. Mści się tu ciągnące się lata całe pomiatanie rzeszą towarzyszów pracy przez naszą inteligencyę, długi okres czasu, gdy było normalnem zjawiskiem, że w „sobotni wieczór,“ oderwany od zgrzytającej zębami maszyny, robotnik nie mógł się nigdzie, nie mógł myśli zamienić z kimkolwiek z ludzi inteligentniejszych i szedł do szynku. Stosunek ten rozpaczliwszym jest w Zagłębiu Dąbrowskiem, niż gdzieindziej w kraju. Wina tu przedewszystkiem leży po stronie iteligencyi, poprzestającej na opowiadaniu o „zdziczeniu,“ o „złych ludziach“, „tajemniczych knowaniach“ itd. Całem, też sercem wypowiadamy się za głosem organu miejscowego, wedle którego usilna praca nad podniesieniem moralnem i umysłowem tej masy, staranne i sumienne, z pewną nawet dozą poświęcenia wysiłki nad urobieniem jednostek powinny być jednym z najważniejszych zabiegów naszej inteligencyi bez różnicy pojęć, poglądów i przekonań.

Ciekawą bardzo kwestyę podały pod obrady ogółu *Tygodnik Polski* i *Gazeta Kaliska*. Sprawa tyczy się pisarzy gminnych. Pierwsze z pism wymienionych wychodząc z zasady, że pisarze gminni wraz z pomocnikami, stanowiąc poważną, bo przeszło 2,000 ludzi liczącą, grupę naszego społeczeństwa, nie mogą być tak pomijani, jak dotychczas, rozpoczyna ankietę w celu zgromadzenia materyałów dla opracowania zasad korporacyi pisarzy gminnych, korporacyi mogącej im zapewnić jaką taką pomoc podczas choroby, emeryturę i wreszcie możność uwolnienia się od zależności od przygodnych, przeważnie mało etycznych, źródeł dochodu. Projekt ten spotkał się w *Gazecie Kaliskiej* z krytyką Pisarza gminnego, który dowodzi, że podobna korporacya wśród pisarzy jest niewykonalna z powodu osobistego składu ich ogółu. Powiada on, że wśród kolegów jego bardzo mało jest pracowników, zadowolonych ze swego stanowiska, ogół zaś to albo ludzie wykolejeni długiem szukaniem jakiejkolwiek pracy w innych zawodach, lub fusy społeczeństwa, z lokajską uniżonością płaszczące się przed wyższymi, a bezlitośnie wyzyskujące niższych i ciemnych. Pierwsi chcą się jak najprędzej wyrwać, a drudzy pomimo hulanek i karciarstwa zawsze sobie coś nie coś na starość zaoszczędzą.

Rozumowanie p. pisarza gminnego nie przemawia mi do przekonania. Warunki złożyły się na to, że pisarz gminny dotychczas to typ, najwięcej pogardzany przez ogół, ale te warunki nienormalne muszą się zmienić; już bodaj teraz w wielu razach nieśmiertelny Zołzikiewicz będzie anachronizmem, a założenie korporacyi nawet i bardzo nielicznej w początkach, może tylko przyśpieszyć zmianę na lepsze. Korporacya taka, czuwając nietylko nad materyalnymi, ale i nad moralnymi interesami ogółu członków, powoli zdobędzie zaufanie wśród społeczeństwa. Zbiorowemi siłami pisarze gminni napewno prędzej i lepiej wywalczą sobie możliwe warunki egzystencyi drogą etyczną i legalną, niż to robią dziś jednostki z odrzuceniem na bok skrupułów sumienia i godności ludzkiej. Dlatego też projekt korporacyi pisarzy gminnych, choćby na początek tylko w formie kasy em erytalnej, pożyczkowo-oszczędnościowej, uważam za myśl ze wszechmiar godną poparcia.

J. Dąbrowski.

LISTY GALICYJSKIE.

Wybory uzupełniające na Rusi. — Kandydatury polskie. — Organizacya chłopów polskich. — Proces *Boriana*.

Za kilka dni mają się odbyć wybory uzupełniające w tych powiatach, w których posłowie złożyli mandaty po znanych zajściach sejmowych z powodu sprawy gimnazyum rusińskiego w Stanisławowie. Po odrzuceniu żądania Rusinów posłowie rusińscy postanowili zaprotestować przeciwko takiemu postępowaniu polskiej większości za pomocą secesyi, która, trzeba przyznać, oczekiwanego przez nich wrażenia nie wywołała. Ponieważ wzięli w niej udział posłowie obu frakcyj politycznych rusińskich — tak narodowcy, jak i ich przeciwnicy, dla których sprawa gimnazyum rusińskiego jest w gruncie rzeczy gorzej niż obojętna, przeto wytworzyła się sztuczna solidarność obozów rusińskich. Solidarność ta wymaga, aby do sejmu powrócili wszyscy posłowie, którzy wzięli udział w secesyi.

Tymczasem antagonizmy wewnątrz społeczeństwa rusińskiego naruszają gdzieniegdzie tę solidarność i wprowadzają walkę namiętną zamiast urzędownie ogłoszonej ugody. Tak się dzieje np. w powiecie Brodzkim, skąd posłował dotychczas p. Aleksander Barwiński, jedna z najwybitniejszych osobistości pomiędzy Rusinami. P. Barwiński był przy poprzednich wyborach kandydatem rządowym, gdyż jego polityka „ugodowa“ nie znalazła miru w społeczeństwie rusińskiem, uważającem Barwińskiego niejako za przedstawiciela rządu. Tymczasem „ugodowiec“ Barwiński w sejmie działał zupełnie solidarnie z resztą opozycyjnych posłów rusińskich, w niczem nie różnił się od nich, kiedy chodziło o energiczne wystąpienie przeciwko większości polskiej i w końcu złożył mandat wraz z resztą kolegów. To zachowanie się Barwińskiego zrehabilitowało go w oczach opozycyi narodowej, która postanowiła poprzeć go przy wyborach ponownych na równi z innymi posłami-secesyonistami. Obóz narodowy uznał to za zupełnie słuszne, natomiast kandydatura Barwińskiego spotkała się z oporem w innych kołach. Przejście ze stanowiska „urzędowego“ na opozycyjne zraziło doń sfery tej oligarchii, która go dotychczas popierała jako urzędowca. Starorusini natomiast nie mogą mu darować konsekwentnego stanowiska. Wobec tego kandydatura Barwińskiego spotkała się z kontr-kan-

dydaturą niejakiego Effinowicza, księdza, jednego z głowaczów staro-rusińskich w powiecie Brodzkim. Za Effinowiczem rozpoczęto agitacyę. Barwińskiego rząd nie ma wielkiej chęci popierać dotychczasowymi środkami, starorusini zwalczają namiętnie, a w tej walce sekundują im ci, dla których ks. Effinowicz, jest sympatyczniejszy od Barwinskiego, który za pomocą chytrej polityki szacherek zakulisowych osiągnął już niejedną zdobycz w dziedzinie rozszerzenia praw narodowych Rusinów. Jest bardzo prawdopodobne, że Barwiński, skazany na pomoc jedynie swych dotyczasowych przeciwników opozycyonistów rusińskich, upadnie w walce z kontr-kandydatem, o ile naturalnie w ostatniej chwili nie zostanie poparty (na skutek jakiejś nowej szacherki) przez czynniki rządowe.

Kwestya, jak się mają zachować Polacy wschodnio-galicyjscy wobec tych wyborów uzupełniających, nie jest dotychczas rozstrzygnięta. Naogół biorąc, przeważa zdanie, że należy utrzymać neutralność, ale gdzieniegdzie wysunięto i polskie kontr-kandydatury. Kontr-kandydatury te posiadają charakter czysto prywatny. Żadne ze stronnictw polskich ich nie popiera, ani komitet centralny, uzurpujący sobie prawo reprezentowania ogółu społeczeństwa polskiego, dotychczas ich nie zatwierdził. Polskie kontr-kandydatury wyłoniły się w pięciu powiatach. W trzech posiadają one pewne widoki, w dwóch innych żadnych.

W powiecie Liskim, gdzie ludność polska jest dość liczna, dawniej posłował Polak, popierany przez czynniki rządowe: wpływ starosty, nadużycia i gwałty komisarzy, przekupstwo i nacisk komitetu centralnego. Przy ostatnich wyborach zwyciężył opozycyonista rusiński, Staruch, poparty energicznie przez polskie stronnictwo ludowe. Gdyby chodziło o nowe wybory, po skończonej kadencyi sejmowej, ludowcy postawiliby prawdopodobnie kandydaturę Milana, żądając od Rusinów takiego poparcia dla niego, jakiego sami użyczyli byli Staruchowi. Tymczasem chodzi tu o wybory uzupełniające i przyzwoitość polityczna nakazuje nie przeszkadzać posłowi dotychczasowemu w zdobyciu ponownie mandatu demonstracyjnie złożonego. Wobec tego organ stronnictwa ludowego, *Kuryer Lwowski*, oświadcza, że ludowcy własnej kandydatury nie postawią i zachowają się neutralnie. Tem samem prywatna kandydatura polska dr. Romana Lenartowicza [illegible] miała większego powodzenia, chyba że ją zatwierdzi komitet centralny, rozporządzający całym arsenałem brudnych środków do „wyborów galicyjskich.“ W każdym razie ludowcy nie poprą kandydata komitetu centralnego i zapewne większość ich będzie głosowała za Staruchem.

W powiecie Rawa ruska przy ostatnich wyborach antinarodowiec rusiński, ks. Mazikiewicz, zwyciężył kandydata komitetu centralnego kilku głosami. Obecnie mają się spotkać na placu ci sami kandydaci — ks. Mazikiewicz i p. Górka. Pierwszy ma za sobą Rusinów obydwóch kierunków, drugi — konserwatystów i demokratów narodowych. Zwycięztwo tak jednego jak drugiego jest zarówno obojętne dla rzeczywistych interesów ludu, gdyż obydwaj ci panowie są reakcyonistami jednej wiary, tylko każdy w inny sposób. I w powiecie Rohatyńskim, w poprzedniej kadencyi był posłem reakcyonista polski, p. Torosiewicz, jeden z najzabawniejszych posłów sejmu lwowskiego, szczątkowy zabytek epoki pańszczyznianej. Obecnie wysunięto w Rohatyńskiem polską kandydaturę p. Krzeczunowicza, właściciela większej posiadłości ziemskiej z Bołszowic. I p. Górka i p. Krzeczunowicz mają widoki wyboru tylko w wypadku poparcia ich przez starostów.

Żadnych zaś nie posiadają dwie inne kandydatury, stanowiące próbę „ludowych“ kandydatów polskich, przeciwstawionych „narodowym“ kandydatom rusińskim. W okręgu zbaraskim kandyduje gospodarz Franciszek Sobolak, w okręgu zaś żółkiewskim wójt Jan Duczymiński, znany uczestnik ruchu na polu zakładania czytelń polskich i urządzania obchodów narodowych po wsiach. Kandydatury te nie mogą liczyć na poparcie komitetu centralnego, to też są pozbawione wszelkiego znaczenia. Znamienne są chyba jedynie z tego powodu, że stanowią objaw nowego prądu w walce z Rusinami, mianowicie chęci poruszenia przeciwko nim chłopów polskich, nie jako ślepe narzędzia komitetu centralnego, głosujące za wódkę i kiełbasę, ale jako czynnik samodzielny.

Takie postawienie kwestyi może ogromnie zaognić antagonizm polsko-rusiński w Galicyi Wschodniej, jakkolwiek zdaje się, że jest to rzecz nieunikniona. Zakładanie czytelń wśród polskiej i zruszczonej już w znacznym stopniu ludności obrządku łacińskiego, prowadzone w ostatnich czasach z taką energią przez Towarzystwo szkoły ludowej, a popierane ze względów natury społecznej przez szlachtę polską, w końcu doprowadzi do zorganizowania się politycznego chłopów polskich na wschodzie. O ile szlacheckie kandydatury polskie nie mogły pociągnąć za sobą głosów ludu polskiego, o tyle kandydatury chłopskie zdołają skupić spory zastęp zwolenników. Rusini będą się musieli liczyć z nowym wrogim czynnikiem w postaci zorganizowanych przeciwko nim chłopów polskich— już nie ludowców, którzy potrafiliby chyba porozumieć się z chłopami rusińskimi na gruncie wspólnych dążeń społecznych, ale narodowców, przesiąkniętych szowinizmem antirusińskim, płynącym z wydawnictw, odczytów i obchodów, którymi ich karmią działacze narodowo-demokratyczni i klerykalni.

Ten antagonizm musi się zaognić i wskutek dziwnego zachowania się Rusinów, niechcących poprostu uznać istnienia ludu polskiego na Rusi. Bezwarunkowo działacze narodowo-demokratyczni, usiłujący polonizować Rusinów-łacinników, mówiących tylko porusińsku, są szowinistami i szkodnikami, ale zakładanie szkół i czytelń polskich w osadach niewątpliwie polskich na Rusi jest działalnością kulturalną, stanowczo dobroczynną. Tymczasem takie *Dilo* napadło na p. Feldmana, który uznał na zjeździe Tow. szkoły ludowej tę działalność za pożyteczną, i napiętnowało jego wystąpienie, jako antirusińskie, podając je za dowód, że wszyscy Polacy, bez różnicy kierunku politycznego, są wrogami Rusi. I to spotkało człowieka, który we wszystkich swych wystąpieniach przeciwko narodowym demokratom, stale bronił Rusinów od rozpasanego szowinizmu tej grupy politycznej!

Ciekawą kartkę z dziejów prasy galicyjskiej stanowił proces dyrekcyi teatru krakowskiego z redakcyą *Bociana*. To ostatnie pismo uprawia nietylko pornografię, ale i szantaż. W całym szeregu plugawych anegdotek, wierszyków, notatek itp. *Bocian* szkalował aktorki teatru krakowskiego, wyciągając na jaw różne fakty prawdziwe i zmyślone z ich życia prywatnego. W końcu, widząc, że mu się nie opłaci ten proceder, uwziął się na państwa Kotarbińskich — pragnąc wymusić od nich odczepne. Zamieścił między innemi portret żony dyrektora teatru p. Lucyny Katarbińskiej w postaci świni. To przepełniło miarkę, i państwo Kotarbińscy wytoczyli redaktorowi *Bociana*, Lipińskiemu, proces o obrazę czci. Lipiński otrzymał dwa miesiące więzienia, właśnie za ów obrazek, co może nieco umityguje. Najzabawniejszem było występowanie redaktora-szantażysty w roli obrońcy moralności i rycerza sztuki, smucącego się z powodu upadku teatru krakowskiego.

Upadek ten istotnie nie da się zaprzeczyć. Wybitniejsze siły aktorskie opuściły teatr, nowe nie przybywają i gdyby nie jako tako znośny personel żeński, niktby chyba nie chodził do teatru krakowskiego, gdyż z wyjątkiem p. Zelwerowicza, scena ta nie posiada ani jednego wybitniejszego aktora. W dodatku Wyspiański zakazał sądownie wystawiania p. Katarbińskiemu swych sztuk, stanowiących jedyną niemal atrakcyę teatru krakowskiego.

Daleki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Zbyteczna troskliwość.

Czy dziennikarz musi przysłać do druku korespondencyę z każdego miejsca, w którem się znajdzie? Chyba nie. Tymczasem wielu naszym maszynistom od pisania zdaje się, że każdy kawałeczek ziemi nabiera szczególnej wagi już przez to samo, że oni go zwiedzają. Pułtusk może przez całe stulecie być sobie zwyczajnym Pułtuskiem, póki nie przyjedzie do niego jakaś osoba z literatury; wtedy przez czas tej dostojnej bytności zamienia on się na maleńką stolicę, na którą ogół patrzyć powinien. I gdyby przynajmniej dzięki takim szczęśliwym przypadkom dotarły do naszej uwagi Pułtuski, Ostrołęki, Pinczowy i inne miejscowości nieznane! Ale my tą samą drogą dowiadujemy się o Berlinie, że ma doskonałą kolej miejską i „kolumnę zwycięztwa,“ o Monachium, że jest ogniskiem życia malarskiego, o Florencyi, że posiada dwie słynne galerye, o Rzymie, że Forum jest w dalszym ciągu rozkopywane itd. Otóż nasuwa się bardzo proste pytanie, którego turyści literaccy nie powinni omijać: mianowicie, po co to wszystko bazgrać, kiedy świat dawno o tem wie bez nich? Zresztą zgodzi on się jeszcze raz usłyszeć o rzeczach starych, w nowej, oryginalnej formie; ale ćwiczenia szkolne na zużyte tematy nikogo nie obchodzą. Niech więc panowie przygodni korespondenci (o ile nie muszą zarabiać dzieleniem atramentu na litery) nie psują sobie podróży sprawozdaniami z jej przebiegu, bo czytelnicy dzienników nic na tem nie stracą i żałować nie będą, gdy nie dowiedzą się od p. Gawlowskiego, że Madonna Sykstyńska znajduje się w Dreznie, a Mojżesz M. Anioła w Rzymie.

g.

Dzika zemsta.

Jedna z gazet wzruszyła swoich czytelników następującem doniesieniem. Powieść T. J. Choińskiego „Gasnące słońce,“ przetłomaczona na wszystkie języki (z wyjątkiem żydowskiego), doczekała się nadzwyczajnego odznaczenia: oto austryackie ministeryum oświaty reskryptem z 3 września 1903 r. poleciło ją wszystkim gimnazyom męzkim i żeńskim do bibliotek. Oczywiście, przyjazna autorowi gazeta nie dostrzegła w mniemanem odznaczeniu złośliwej intrygi jego przeciwników (prawdopodobnie Żydów). Niedość im było przekonywania społeczeństwa zapomocą artykułów krytycznych, że p. T. J. Choiński nie ma wcale talentu, a powieść „Gasnące słońce“ jest najwymowniejszym tego dowodem,

postarali się jeszcze, ażeby ją austryackie ministeryum oświaty zaleciło do bibliotek szkolnych — czyli ją dobili. Wiadomo bowiem, że tego zaszczytu dostępują tylko utwory, mające zamiast żył niteczki włoskiego makaronu, w których krąży syrop z rozpuszczonej sacharyny. Zaliczone do tej kategoryi „Gasnące słońce" chyba już nigdy nie dźwignie się z porażki. Jest to prawdziwy „mord rytualny," dokonany przez Izraelitów na antisemicie. *bd.*

Bez bawełny.

W Towarzystwie hygienicznem rozbierano kwestyę bardzo trudną a jednocześnie tak prostą, jak pytanie, ile nóg ma zwierzę czworonożne. Chodziło o to, czy opłacający podatek szpitalny mają prawo żądać, ażeby w razie choroby przyjęto ich bezwzględnie do szpitala, czy też tylko o ile w nim jest miejsce. Zgodnie z temi zapatrywaniami obecni podzielili się na dwa stronnictwa, które nie doszły do żadnego wspólnego wniosku. A jednakże on leżał tak blizko każdego rozumu. Rzecz prosta, że kto stale płaci za prawo do łóżka w szpitalu, ten powinien otrzymać je natychmiast, skoro tylko zachoruje; ale ponieważ szpitale nasze są zwykle napełnione, a według fizyki dwa ciała równocześnie na tem samem miejscu znajdować się nie mogą, więc on bywa przyjętym tylko wtedy, kiedy jest wolne miejsce — przywilej zapewniony wszystkim bez wyjątku. Co jeszcze po nad tymi „wszystkimi" mają opodatkowani, nie podejmujemy się objaśnić. Nie obwijając w bawełnę, trzeba przyznać, że w całej tej sprawie tkwi krzywda ludzi biednych, którą należało dawno usunąć ich kosztem, tj. za ich pieniądze wznieść więcej szpitali. *wp.*

Walka tytanów.

I jako znamię czasu, i jako wypadek praktycznego znaczenia, zasługuje na uwagę walka, jaką obecnie toczą między sobą olbrzymy komunikacyi atlantyckiej. Z towarzystwami europejskiemi połączyły się amerykańskie i angielskie dla pokonania wspólnego przeciwnika- -brytańskiej „Cunard-Line." Ponieważ sprzymierzeńcy posiadają kolosalne środki, zdawałoby się więc, że wkrótce zwyciężą. Ale ich wróg jest również olbrzymem tem silniejszym, że ma poparcie rządu angielskiego, któremu przewozi pocztę. Jak się skończy, a raczej kiedy się skończy (bo o zgodzie wątpić trudno) ta walka tytanów — nie wiadomo: tymczasem korzystają z niej tłumy pasażerów, zwłaszcza emigrantów, i to nie w takiej mierze, jak kiedyś z wojny między pp. Fajansem i Górnickim. Mianowicie przejazd III klasą z Anglii do Ameryki kosztował około 65 rb., teraz zaś wskutek konkurencyi kosztuje *18 rb.* Ponieważ zaś w zeszłym roku przywędrowało do Stanów Zjednoczonych 800,000 osób, można obliczyć, ile zjednoczone towarzystwa straca na obniżonej taryfie.

Przysłuży się ona wielce tym, którzy zechcą zwiedzić wystawę w St. Louis; ale najsilniej oddziała na emigracyę, która niewątpliwie wzrośnie do nadzwyczajnych rozmiarów. Na ten wypadek powinniśmy być przygotowani. *h.*

Kara na wiarołomne.

Ciekawą sprawę opisują kroniki sądowe pism codziennych. Zawiera ona w sobie historyę nadzwyczaj złożonego i skomplikowanego zagadnienia. Są pewne, uznane przez pogląd ogółu przestępstwa bardzo osobiste, podległe indywidualizacyi i zdawałoby się nie wychodzące po za normy ogólne. Do nich należy tak zwane „wiarołomstwo." Otóż zagadnienie to zostało w prosty sposób rozwiązane przez wyrok sądowy, skazujący „winną" na 4 miesiące więzienia. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że cofnęliśmy się o jakie parę wieków w tył, w czasy średniowiecza. Tymczasem, jeżeli wpatrzeć się w psychikę ogółu, to łatwo wyczuć, że ów wyrok niezbyt daleko odbiegł od naszych poglądów. Szczegóły danej sprawy nie mają w tym względzie większego znaczenia, oni też osoba człowieka, który ma odwagę wziąć na siebie odpowiedzialność za podobne oskarżenie, ani też ciekawy szczegół usunięcia się od odpowiedzialności mężczyzny. Wogóle do dziś nie czujemy wcale potrzeby krytyki podstaw, na których budujemy pojęcia tego rodzaju co wiarołomstwo, i obłuda nie pozwala nam spojrzeć zagadnieniu temu w oczy. Poruszenie nawet tego rodzaju kwestyj drażni naszą ukochaną drzemkę i niepokoi również ludzi, mających pretensye do szerszego patrzenia na świat. Nie mam zamiaru roztrząsania tu całej tej sprawy, chcę tylko ją zaznaczyć, jako ciekawy objaw naszej kultury.

Czy „wiarołomstwo" jest przestępstwem? Podług zasad wyższej etyki, tej która, nie sformułowana jeszcze, tkwi rdzennie w duszach młodych, łaknących nowej treści, zagadnienie to przestaje istnieć. Podług naszej zwykłej, tradycyjnej moralności, stanowiącej prawa i to prawa cięższe i bardziej krępujące, niż paragrafy kodeksu, — tak; przecie ona opiera się cała na niezgodności czynów z myślą, na lęku przed tem, co życia potrzeby przynoszą, na kulcie dla przepisów, dla norm nakładanych, jak kaftan bezpieczeństwa. Opiera się ona na braku tęsknoty za etyką krwi i kości człowieczej, budowanej na fundamencie potrzeb wszechstronnego rozwoju natury ludzkiej, na pietyzmie dla dogmatów, niezwruszonych przepisów i uwielbieniu kary, jako brutalnej zemsty. W imię tych ideałów kamienujemy wiarołomne, plujemy na „wolną miłość" i... zazdrościmy mającym „szczęście do mężatek." Ordynarność natury ludzkiej nigdzie tak jaskrawo nie występuje na wierzch, jak w stosunku mężczyzny do kobiety. *d.*

„O wyborze zawodu."

Pod powyższym tytułem ukazała się ciekawa broszura, tłomaczona z niemieckiego. Jest to zbiór artykułów, napisanych przez medyków-specyalistów o niebezpieczeństwach, jakie zagrażają przy zajęciu, którego wymagania, co do warunków pracy, nie odpowiadają stanowi zdrowia. Rzecz warta przeczytania i rozpowszechnienia, tembardziej u nas, gdzie tak mało zwraca się uwagi na zdrowie fizyczne i jego potrzeby.

Przy czytaniu tych artykułów dziwne jednak ogarnia uczucie. Mimowoli z po za kartek wychyla się ironicznie wykrzywiona twarz prawdy życiowej i poczyna czynić bardzo złośliwe uwagi. Istotnie smutne to, lecz prawdziwe, że wszelkie poczynania w tym kierunku napotykają mur na swej drodze, który jeżeli nie powstrzymuje ich, to zawsze tępi i chłodzi. Przy gorączkowym uganianiu się za bytem, wśród ciągłej walki o każdy kęs zajęcia gdzież jest miejsce dla istotnie samodzielnego, wolnego wyboru zajęcia? Następnie — czy w 99 na 100 wypadkach może być mowa o wyborze zawodu. Nie wybieramy go sobie sami; dla pewnej garstki rolę tę odgrywają rodzice lub opiekunowie, dla znacznej większości — ślepy los. Wybór zajęcia, opierający się zarówno na warunkach zdrowia fizycznego, jak i skłonnościach umysłowych, może istnieć tylko wtedy, jeżeli dana jest możność rozwinięcie jednych i drugich. Tam, gdzie małe dzieci, rzucone na bruk, przebiegają, wiedzione instynktem głodu, najróżnorodniejsze „zajęcia," tam gdzie chłop. oderwany od roli, dostaje się do wielkiego miasta i zostaje kandydatem do posad wszelkiego rodzaju, tam gdzie tysiące z tak zwanej pół-inteligencyi oblegają biura, kantory, itd., tam mówić o wyborze zawodu można tylko z stałem narażeniem się na niezrozumienie.

Ta kwestya, jak i cały szereg innych, wskazuje, jak trudno uczynić krok w jakiejkolwiek dziedzinie życia społecznego, aby nie natknąć się zaraz na przeszkody, które są wypływem i ścisłą konsekwencyą współczesnych warunków życia; stanowią one sieć niewidzialnie połączonych nitek, wiążących dany okres rozwoju ludzkości w jedną, tragicznie oporną i twardą całość. *br.*

Głęboka rada.

Jedno z pism codziennych, tych stałych dostarczycieli materyału do różnych spostrzeżeń z dziedziny psychiki naszego społeczeństwa, ubolewa nad faktem, że w pewnym ogrodzie publicznym napotkać można niepełnoletnią młodzież, zaprawiającą się do flirtu. Przyjmujemy za pewnik jego czarne myśli, tembardziej, że opierając się na zewnętrznym wyglądzie tych faktów (to znaczy bez zwracania uwagi na inne czynniki) może i jest w tem pewna doza słuszności. Jakąż radę na to zło podaje owo pismo: Nie należy puszczać panienek samych! Szkoda że nie zaproponowało, aby zarząd miasta wydelegował dozorcę policyjnego do baczenia za przestępcami i przestępczyniami.

Rada ta nie wyróżnia się z pośród całego szeregu mikstur, zalecanych przez większość naszej prasy codziennej na różne dolegliwości społeczne. Jest ona niezwykle typową i charakterystyczną. Płytkość ujęcia rzeczy, parę frazesów i przepis, niewychodzący po za podręcznik „savoire vivre'u." Czy na to, aby surowych obyczajów dziennikarz nie uległ zgorszeniu, środek przez niego wskazany pomoże, nie wiem, lecz to pewna, że w środku tym więcej jest niemoralności i nieprzyzwoitości, niż w całym ogrodzie Pomologicznym. Dziewczynę młodą trzymać na uwięzi, to znaczy uważać ją za tak nizko stojącą, że byle krok samodzielny—przyprawia ją o zgubę. Jak taka rada mile przypada do światopoglądu warszawskiego! Zakrywać sobie oczy na wszystko i stosować do wychowania młodych pokoleń zasady dobrego tonu i ułożenia. Panienka, posiadająca te zalety, uniknie ziemskiej zgnilizny, bo będzie miała zawsze bonę, która jej przypilnuje. Samodzielność to największy dla niej występek, to coś okropnego, czyhającego jak szakale na zdobycz. Młoda „panienka" jest pewnego rodzaju oswojonem zwierzątkiem, któremu jednak nigdy zbytnio dowierzać nie można, bo pozostawione bez dozoru wierzga i kopie... *zr.*

O przeciążeniu szkolnym.

Parę słów wypowiedzianych już o tej kwestyi wymaga pewnego uzupełnienia. Istotnie, czuć się daje wielki brak uzdolnionych pedagogicznie nauczycieli. Lecz kwestya ta ma inną jeszcze stronę. Przeciążenie szkolne dotyka nietylko uczących się, lecz i uczących. Pomijam, że większość nauczycieli a szczególniej nauczycielek otrzymuje bardzo nizkie wygrodzenie w stosunku do stawianych im wielkich wymagań. Nawet położenie najlepiej opłacanych nauczycieli jest nie do pozazdroszczenia, cóż dopiero mówić o nauczycielkach.

Muszę tu zrobić pewne zastrzeżenie. Wiem dobrze, że zbyt wielka konkurencya i inne przyczyny postronne uniemożliwiają właścicielom i właścicielkom prywatnych zakładadów naukowych podniesienie płacy za lekcye. Lecz wobec tego ciekawem jest pytanie, czy wogóle szkoła prywatna, średnia może się utrzymać bez subsydyum, jeżeli będziemy wymagali od niej uwzględnienia wszelkich wymagań pedagogiki, a wśród tych niepoślednie zajmie miejsce sprawa nieprzeciążania uczących pracą? Dzisiaj jednak nie o to mi idzie.

Praca nad siły osłabia zapał i zdolność do uczynienia wykładu istotnie wartościowym. Następnie, warunki hygieniczne klas, w których trzeba przepędzać 4—5 godzin zrzędu, niezbędność ciągłego mówienia — podkopuje zdrowie: a czyż człowiek chory może podołać pracy nauczycielskiej? Znający bliżej te stosunki, wiedzą dobrze, jak znaczny procent uczących zapada na zdrowiu i jak często się zdarza, że nauczyciel lub nauczycielka nie może dociągnąć do końca roku. Wycieńczenie, upadek sił, silne zdenerwowanie — to roczny ich bilans, jeżeli nie coś gorszego, podrywającego organizm na czas dłuższy.

Tylko zapewnienie znośnej normy wynagrodzenia, zabezpieczające od przeciążenia pracą i pozwalające na swobodne zajęcie się swym fachem, może zaradzić złemu. Inaczej pozostaniemy w błędnem kole, jak zwykle. *w.*

W sprawie „Towarzystwa opieki nad dziećmi."

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam ewangeliczną wiarę, że i teraz projekt zawiązania „Towarzystwa opieki nad dziećmi" (nr. 21 *Prawdy*) nawiasem mówiąc, podany już przezemnie przed 16 laty, przejdzie niedraśnięty brutalnym zębem czynu, do historyi przeszłości. Co najwyżej, obmyślimy nową filantropijkę w rodzaju amatorskich teatrów, albo zabawy tanecznej — porwani urokiem wymowy poświęconych tej sprawie artykułów. Bo dla nas słowo i jednodniowy czyn to dosyć; dalej działalność nasza nie sięga. Nasze niepokalane dziewictwo myśli, oślepionej tradycyjną czcią dla wszystkiego, co dawne, nie patrzy w rzeczywistość, prawdy życiowej nie widzi.

Przyjąwszy za zasadę, że rodzina ma pielęgnować w swem łonie najwyższy ideał etyczny, przedewszystkiem należałoby wychowywać jednostki w duchu tej idei, to jest, uzdalniać je do stwarzania wymaganego typu rodziny. Ale nawet w najlepszym razie, wpływ dobry na dzieci tych wykwalifikowanych ojców i matek, zależnym będzie od ekonomicznych warunków życia, od rodzaju pracy, z której czerpaliby środki na utrzymanie swoje. Do wywierania dodatniego wpływu na małego człowieka potrzebne są dwa warunki: 1) uzdolnienie odpowiednie ojca i matki; 2) czas. Pierwsze zdobywa się przez wysoką kulturę ducha, drugie przez dobrobyt.

Jakież zatem miejsce w kwestyi wychowywania, to znaczy, w pochodzie do najwyższego typu etycznego, wyznaczyć należy instytucyi rodzinnej, i jaką ona w ruchu cywilizacyjnym właściwie zajmuje pozycyę -rezultatu, czy środka? Stanowczo rezultatu.

Bo tylko idealne jednostki mogą wytworzyć rozumiejące i spełniające zadanie swoje rodziny. Najwyższy i najpodnioślejszy ideał społeczny—wychowanie człowieka, spełnionym być może jedynie tylko przez cywilizującą działalność społeczeństwa. Dosyć słów; tu czynu trzeba, do czynu zabierzmy się w umiłowaniu sprawiedliwości i prawdy, przez przyznanie praw człowieka dziecięciu do szczęścia powszechnego w świecie ludzkim wiodącej....

Racz przyjąć......

Prenumeratorka.

BADANIA NAUKOWE.

Gabryel Tarde.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

II.

Tarde jest gorącym indywidualistą. Ale wyraz ten ma tyle znaczeń! U Tarde'a indywidualizm teoretyczny w tem się przedewszystkiem wyraża, że opiera się on stanowczo wszelkiemu uosobianiu zrzeszeń. Życie wszelkiego skupienia można, zdaniem jego, pojąć i wytłomaczyć jedynie przez badanie jego części składowych i ich wzajemnego oddziaływania, nie zaś odwrotnie; tak samo i w zrzeszeniu ludzkiem — przez jednostki tłomaczy się całe społeczeństwo, bo jednostki są w niem sprawczyniami wszystkiego—oczywiste, przynajmniej na pierwszy rzut oka, przeciwieństwo znanej maksymy Comte'a, że człowiek tłomaczy się i powstaje przez ludzkość. Znana jest polemika Tarde'a z innym wybitnym socyologiem francuskim, prof. Durkheimem, tak zawzięta, że doprowadziła aż do osobistego zerwania: Durkheim twierdził mianowicie, że wierzenia, nakazy i instytucye społeczne są czemś objektywnem, od jednostek niezależnem, z zewnątrz i z góry niejako na nie przeważnie działającem. Tarde gwałtownie protestował przeciw tej „ontologii," metafizyce społecznej. Oczywiście, zdawał sobie i on znakomicie sprawę z tego, że sam fakt skupienia jest źródłem czegoś nowego, czegoby nigdy nie było, gdyby te same jednostki i w tej samej liczbie pozostały odosobnionemi; ale dowodzi też, że socyolog nie ma nigdy i nie potrzebuje mieć do czynienia z psychologią ludzi odosobnionych, tylko z psychologią społeczną, która przecie nie jest psychologią jakiejś nowej istoty, tak się mającej do jednostek, jak organizm do komórek, lecz psychologią jednostek, właśnie zrzeszonych i nawzajem na siebie oddziaływających: to coś nowego pojawia się jedynie przez jednostki i w jednostkach. W gruncie rzeczy cały ten spór łatwo się daje rozstrzygnąć; racyę mają obaj zapaśnicy. Nie ulega wątpliwości, że dane środowisko społeczne kształtuje każdego, nawet największego, człowieka, i że nakazy, wierzenia, instytucye społeczne grają względem każdego z nas rolę czegoś zewnętrznego, samodzielnego i potężnego. Lecz zarówno środowisko wogóle, jak każda instytucya w szczególności, występują zawsze względem nas w formie jakichś określonych ludzi, jednostek; zgoda powszechna, która ich istnienie i siłę poręcza, niezgoda, która sprawia ich słabość i upadek — to stany ducha jednostek również; i jeśli chcemy zbadać powstawanie danego środowiska i danych instytucyj społecznych, jeśli chcemy zrozumieć proces ich przekształcenia się, to jedynie *pewną* metodą będzie— obserwowanie procesów duchowych ludzi żywych; oczywiście, nie jesteśmy nigdy w stanie zbadać wszystkich, lecz osiągamy dostateczne przybliżenie pewności, badając takie objawy stanów jednostkowych, jak te, które dadzą się ująć systematycznie, dalej — jak głosowania, bunty, wybory, dzieła literackie i artystyczne, stopień ich powodzenia itp. Dlatego też sądzimy, że ostatecznie Tarde, choć równie jednostronny, ma większą racyę, gdy przypomina, że odkrycie Newtona, iż ciążenie ciał niebieskich ku sobie jest rezultatem ciążeń wszystkich mas, z których się one składają, że to rozbicie na proch dawnych, niewzruszonych całości astronomicznych było przewrotowym punktem wyjścia postępów astronomii, fizyki, chemii; że podobnie rewolucyjne znaczenie miało, dzięki odkryciu komórki, rozbicie choroby, *entitas* dawnych lekarzy, na zaburzenia elementów; i gdy żąda, aby podobnie postępowano w socyologii, dając sam piękny przykład swem sprowadzeniem wszystkich, pozornie słabych i jednoczesnych antytez społecznych do faktycznych, kolejnych stanów ducha jednostek [1]) — Tarde wyraźnie sprzeciwia się poglądowi, jakoby przyczyną różnych zjawisk społecznych był t. zw. „geniusz rasy, łono narodu (*entrailles du peuple*, wnętrzności)": zamiast tego „czynnika nadludzkiego a bezimiennego" wysuwa — inicyatywę ludzi wybitnych, naśladowanych przez masy [2]).

Geniusz rasy, łono macierzyńskie ludu? Cóż nam to przypomina: oczywiście, sławną szkołę historyczną prawa, oczywiście— „duch objektywny" Hegla, i poglądy Comte'a, i cały kontr-rewolucyjny kierunek filozofii społecznej z pierwszej połowy XIX wieku. Zatem z tym to wrogiem kruszy kopię Tarde, ta walka powoduje też jego jednostronność, gwałtowną niechęć do uznania faktu podporządkowania jednostki społeczeństwu, przesadę w ocenie woli jednostek wybitnych? Tak jest; i to pozwala nam określić jego stanowisko klasowe i zrozumieć jego dalsze antypatye i sympatye.

Wiemy, że jeśli w w. XVIII wznoszące się mieszczaństwo rewolucyjne opierało swój światopogląd na krytycznym rozumie ludzkim i na prawie indywidualnem, mało przytem ceniąc warunki realne, które właśnie trzeba było zniszczyć, to myśliciele kontr-rewolucyi, Restauracyi, chcąc spętać znów zbuntowaną jednostkę, wykazywali nietylko względność i historyczność rozumu ludzkiego, ale przedewszystkiem zależność jednostki od rzeczy, od społeczeństwa, któremu wszystko zawdzięczając, nie ma ona względem niego w każdych danych warunkach konkretnych żadnych praw, lecz jest jedynie narzędziem tej wyższej woli [3]). Natomiast warstwy mieszczaństwa, które nie miały udziału w zbogacaniu się kapitalistycznem i panowaniu politycznem, których potrzebą zatem było nie zachowywanie, lecz przeciwnie — krytyka i burzenie form istniejących, mianowicie średnie i szczególniej drobne mieszczaństwo, z których każde posiadało odpowiednie warstwy inteligencyi zawodowej, choć nie mogły całkowicie się oprzeć przemożnemu wpływowi panujących idej socyologii kontr-rewolucyjnej, jednak trzymały się głównie dawnych zasad racyonalistycznych, na których mogły oprzeć prawo jednostki krytycznej względem rzeczy. Z tego to głównie źródła wypłynął prąd socyologii, zwanej dziś psychologiczną, powstała szkoła, rehabilitująca jednostkę, szczególniej wybitną, genialną, inicyatorską, a sprowadzająca rzeszę, masę, ogół do znaczenia pojęcia logicznego — *flatus vocis*, jak mówili średniowieczni nominaliści. Tarde sam powołuje się na tych ostatnich: mówi on, że stosunek powtórzenia do zmiany jest jedną z form stosunku ogółu do szczegółu, treści całego sporu realistów z nominalistami. Dla tych ostatnich jedyną rzeczą prawdziwą są faktyczne indywidua, czyli przedmioty, rozpatrywane z ich strony różnicowej; „realiści" zwracają uwagę tylko na cechy wspólne jednostek. „Liberalizm indywidualistyczny — dodaje Tarde — jest zastosowaniem nominalizmu, so-

[1]) „Oppos. univ.," str. 12—84. Cytowane całkowicie w artykule „Pojęcie przeciwieństwa u Tarde'a."

[2]) „Les monades et la science sociale."

[3]) Dla zrozumienia tej, tutaj krótko wypowiedzianej, myśli musimy odesłać do naszego „Rzutu oka na rozwój socyologii w XIX w.," nakład *Prawdy*.

cyalizm —"realizmu"*). Oczywiście. „realizmem" średniowiecznym tchnęła w daleko jeszcze większym stopniu szkoła kontrrewolucyjna. Tarde występuje przeciw niemu; możemy w nim widzieć przedstawiciela *nie*-panujących warstw drobnego mieszczaństwa.

Moglibyśmy — gdyby przecież od czasów Restauracyi tak wiele się nie zmieniło, szczególniej we Francyi, gdzie wszystkie warstwy mieszczaństwa biorą już dziś udział w panowaniu. Tak; ale wszakże wiemy, że forma przeżywa długo treść, i że walki idej i teoryj bywają, jak owe walki cieniów po skończonej, krwawej bitwie wojsk rzeczywistych. Szkoła indywidualistyczno-psychologiczna walczy wprawdzie dziś już (przynajmniej na Zachodzie), z cieniami, gdy się tak gwałtownie opiera idei podporządkowania jednostki społeczenstwu: idea ta straciła swe znaczenie kontr-rewolucyjne, i co najwyżej możnaby niektórym jej obrońcom w dziedzinie nauki socyologicznej zarzucić, że pod społeczeństwem zbyt bezwzględnie pojmują tylko państwo i prawo w ich formie przyjętej, a więc względnej, przemijającej i ciasnej. Z pewnością, czuje to instynktownie Tarde, gdy polemizuje z „ontologami." Ale pamiętajmy, że dziś szkoła indywidualistyczno-psychologiczna walczy na dwóch frontach: jeśli z tyłu niepokoją ją mdłe cienie, to z przodu musi odpierać ataki żywiołu nowego, w którym też i Tarde dojrzał głównego przedstawiciela wrogiego „realizmu." Nie bez słuszności: i to ma także swe źródło historyczne. Nowa klasa, zrywając z ideologią mieszczaństwa, ostatnie w początkach zajmowała stanowisko, pod pewnymi względami podobne do szkoły kontr rewolucyjnej. Bo też dążenie mieszczańskie do rozpętania jednostki objawiało się nietylko w liberalizmie i demokratyzmie politycznym, ale bardziej jeszcze w wyścigu kapitalistycznym, niszczącym dawne, gminne formy bytu. Te nieliczne, rozpętane jednostki, tratujące ogół pozostałych, trzeba było poddać normie ogólnej. Może też z początku niektóre teorye „organizacyi pracy" miały wygląd zbyt anti-indywidualistyczny, dawały się pomieszać z teoryami kontr-rewolucyjnemi... Ale to zmieniło się gruntownie i oddawna. Oddawna zostało dowiedzione, że ten „realizm" nie jest bynajmniej zaprzeczeniem, lecz wyzwoleniem jednostki, urzeczywistnieniem jej praw do bogatego życia indywidualnego. I nietylko w zakresie społecznej nauki stosowanej, ale i czystej teoryi, tak z tą pierwszą ściśle związanej, przedstawiciele tego „realizmu" nie mają doprawdy nic wspólnego z metafizyczną „ontologią" różnych idej absolutnych.

(D. n.)

Dr. K. Krauz.

*) Les lois de l'imitation, str. 7

LITERATURA I SZTUKA.

Emil Verhaeren.

Umiłowanie potęgi żywiołowej przechodzi przez całą twórczość Verhaerena, twórczość tak bogatą w akordy. Na początku miała ona rozmach i pęd zmysłowy obrazów Rubensa. „Les flamandes" (1883) pełne są opisów, zaczerpniętych z krajobrazu równin przerywanych kanałami. Niema w nich ponurej troski, rytującej swe znaki na czole, niema niegasnącego niepokoju ducha. Są one najjaśniejsze z jego poezyi, pełne uwielbienia dla pulsowania życia przy ziemi. Inną stronę tych równin przedstawia zbiór p. t. „Les moines." Duchy, które odpychała szeroka strona życia i które pełne były łaknienia samotności, chroniły się za mury klasztorne i tam pozostawały, każdy z własnem uczuciem, każdy z samym sobą.

Później następuje zwrot. Dusza poety traci grunt młodości, żyjącej pulsowaniem ziemi i przestępuje próg, kędy zalegała ciemność i ból. „Les soirs" — to męka zawiedzionego przez cierpienie ducha, szamotanie się jego wśród okropności nocnych wizyj. „Les débâcles" — dalszy ciąg dziejów cierpienia, „deformation morale" pod wpływem ciągłych halucynacyj. Rozpacz woła: „bądź własnym katem," łaknie on korony cierniowej i wpycha ją coraz to mocniej na głowę; każdy nowy ból, to nowa, upajająca i odwodząca od zmysłów rozkosz. „Korona mej boleści i radości mojej" — woła on. Wśród tych mąk zbliża się pewna zmiana. „Les flambeaux noirs," to też same orgie piekielnych wizyj, lecz za niemi idzie „la projection extérieure." Duch znajduje punkt oparcia w ruchu powszechnym i świadomość, że krwawienie i bicie zwichniętemi skrzydłami po ziemi, to tylko cząstka bytu — ruchu, który nieśmiertelny, bezwzględny panuje nad wszystkiem, co żyje. Poeta nie otrząsnął się z udręczeń przez mary, lecz pojął je i znalazł słowo, wypowiadające stan jego ducha.

Chwilami niebo rozpogadza się, występuje tęcza i rozlega się jasna, kojąca piosenka. „Heures claires," to waryacye na temat radości. Lecz ta nuta trwa krótko. Niebiosy, zaświaty zasłania ziemia, a ziemia — to tragizm. Potęga halucynacyi wzrasta i w „Villages illusoires" dosięga szczytu napięcia. Wśród deszczu, śniegu, wichrów i okropnego milczenia zarysowują się dziwne postaci: grabarz, kowal, rybak — potężne obrazy bez jaśniejszego promienia, mające swoją moc i swą jasność w tym braku jasności. Rzecz dziwna— wogóle biorąc obrazy Verhaerena, pełne są ponurej nocy, pełne czarnych lub krwawo purpurowych barw, a pomimo tego nie wywierają one przygnębiającego wrażenia, nie są rozpaczą, żalem, nie — to tylko nadzwyczaj mocny człowiek patrzy w tajniki bytu i wśród ciemności i monotonii pełnych bólu stanów duszy współczesnej widzi odwieczne pulsowanie życia.

Teraźniejszość występuje w całej swej złożonej grozie w cyklu: „Campagnes hallucinés," „Villes tentaculaires," „Aubes" (1892—1898). Prąd, który odrywa ludzi od ziemi i pędzi ku wielkiemu widziadłu-miastu, przyjmuje tu nadziemskie rozmiary, choć obrazy, za pomocą których wypowiada się poeta, są proste, szorstkie.

W ostatnio wydanych zbiorach Verhaeren coraz głębiej wnika w treść życia. „Visages de la vie" — tu, pochylony nad zbolałem sercem ludzkości, bacznie śledzi jego drżenia i podchwytuje pragnienia i wzloty. „Petites legendes" — „wywołują z nadzwyczajną potęgą duszę krainy flamandzkiej, ducha rasy prostackiej a silnej, zmysłowej w marzeniu i ponurej dziwaczności halucynacyi" (Andre Beaunier — poésie nouvelle). Ostatni cykl „Forces tumultueuses" jest wyrazem skupienia się całej twórczości olbrzyma-kowala. Tło ogólne nieco jaśniejsze; po za krwawą wizyą stoi uwielbienie dla potęgi. Wola — to najwyższe objawienie życia. Ona, wiecznie inna, wiecznie nowa, obejmuje światy i pcha je ku nieznanemu.

Potęgę tę widzi Verhaeren w przyszłości i patrzy w nią uporczywie krwią nabiegłemi oczyma. W przyszłości widzi on wzrost poglądów, dziś już ludzkość nurtujących. Sam razem z Vanderveldem i Eckhausem organizował sekcyę sztuki w „Maison Peuple" w Brukselli. Najwyższy wyraz tej swej wierze dał on w „Villes tentaculaires" olbrzymiej wizyi współczesnego apokaliptyzmu (Leblond). Zgroza, okropność, wstręt budują w miastach życie i wiodą żywot szaleńczy — lecz w tem wszystkiem jest potęga, jest wola, jest kiełkująca przyszłość.

* * *

Z treści ducha wypływa wszelkie znamię twórczości Verhaerena. Znany literat Remy de Gourmont w książce p. t. „Livre des masques" pisze: „charakterystycznem słowem poezyi Verhaerena jest halucynacya." W tem słowie znalazł on istotną treść artystycznych zasobów poety. Halucynacye, wizye wzrastają w twórczości jego z postępem czasu i, potężniejąc, olbrzymiejąc, wypełniają duszę poety. Na początku były one spokojne, żywiołowe. Silna zmysłowość, pewien spokój, duma istnienia — wypowiadają się w obrazach ze wsi flamandzkiej i jej uzupełnienia — klasztoru. Później życie zniweczyło, zburzyło spokój. Rozpoczęło się rwanie, szarpanie, dręczenie po nocach, przestrach, zrodzony z sennych widziadeł, z nieznanych głosów, pełnych krwi i wołania. Z czasem przestrach opadł, wizye nie zniknęły, olbrzymiały wciąż, tylko duch przeszedłszy przez piekło bólu i lęku, stał się twardszym, ujarzmił je i ujrzał w nich treść...

Obrazy do oddania tych wizyj bierze Verhaeren, jak to parę razy już wzmiankowałem, z najbliższego otoczenia. Płaszczyzna, brzeg morski, stary kościół itd. — wszystko oświetlone półmrokiem, który nie ma w sobie nic ciszy i spokoju, jak np. u Rodenbacha; u Verhaerena wszystko dyszy niepokojem; wszędzie on płonie jakimś tłumionym żarem. I dlatego koloryt jego jest tak jaskrawy, tak twardy i z tak wielkich kontrastów złożony. Nie zna on łagodnych przejść, cieniowania; brutalnem pociągnięciem pędzla przechodzi od jednej barwy do drugiej. Pierwsze jego utwory miały barwy Rubensa: ta sama radość ciała, to samo zadowolenie głębokiego oddechu i mocnego po ziemi chodu. Później barwy posępnieją i nigdy nie powracają do dawnego spokoju. Koloryt jego— pisze Viele Griffin — to „la lourde orgie fougueuse des kermesses, le tragique *physique* des desespoirs prolétariens, la danse macabre aux precisions gothique et la rude beauté ensanglantee des révoltés, l'esperance indefectible des races fortes."

Choć koloryt Verhaeren posiada silne cechy Flandryi, to jednak poeta nie jest, jak to twierdzą niektórzy, wyłącznie flamandzkim, bardziej flamandzkim, niż np. Maeterlinck: wizye swe oddaje on za pomocą środków czerpanych z przyrody swego kraju, lecz one same — to męka człowiecza, niezależna od miejsca. W cierpienia współczesności wkłada on tyle mocy indywidualnej, że nabierają one blasku płonącego ognia i pożaru, ogarniającego wszech-świat.

Wrażenie artystyczne wywołuje poeta przez nastrój; silnym konturem rzuca szkic, a treść oddaje głosem dziwnie w stosunku do wewnętrznej tragiki i zewnętrznego wzruszenia równym i donośnym. Za przykład tego nastroju może posłużyć wiersz: „Les brumes" z cyklu „Les bords de la route," „Le cri" („Les soirs") i „Dame en noir" („Les flambeaux"); za pośrednictwem prostych środków wydobywa niesłychane efekty „lęku przed lękiem" (Beaunier).

Język Verhaerena, ta zewnętrzna forma, organicznie związana z całokształtem twórczości, jest brutalny, silny, nieznający, co dźwięk miękki, wypieszczony. I ta siła i żar stanowią wyróżniające go znamię.

Całość swej twórczości wspaniale oddał Verhaeren w wierszu „Aux moines" (cykl „Les moines"); mówi on do mnichów: „pozostanę sam z mą sztuką; tak jak wy krzyże, przycisnę ją do piersi, że przebije me

ciało i dojdzie do serca; nie pozostaje nic na tej ziemi, coby mogło pociągnąć mózg potężny a samotny i dać mu siłę upojenia— tylko jedna sztuka. Warownia jej przetrwa nas i długo, wiecznie świecić będzie wśród naszych ciemności."

Zbigniew Brodzki.

ZE SZTUKI.

III-cia wystawa wiosenna w Salonie Krywulta.

Gdym przed rokiem pisał o 2-ej wystawie wiosennej, wyraziłem pragnienie, żeby organizatorzy mniej pochopnie łączyli prace ciekawe z dziwacznemi, których jedyną kwalifikacyą do oryginalności jest pretensyonalnie narzucająca się nieudolność.

Może dlatego, że urządzający przyszli do tych samych wniosków, a może z innych powodów, na obecnej wystawie widzimy mniej o połowę tak wystawców, jak i prac wystawionych.

Czy to z winy surowości sądu przyjmującego, czy samych zaproszonych dość, że brak dwudziestu paru nazwisk, które figurowały w zeszłej wystawie, a między temi są zarówno artystów bardzo utalentowanych, jak zupełnie miernych. Nie zabezpieczyło to jednak wystawy tegorocznej od sporej ilości dziwactw, które umieszczono przeważnie w ostatniej salce, jakby w jakimś *cabinet des horreurs*.

Artystów z tej salki podzieliłbym na dwie kategorye: na tych, co dobrowolnie dopuszczają się dziwactw artystycznych i tych, co je popełniają dlatego, że lepiej nie potrafią. Do tej ostatniej zaliczyłbym prace pp. Franciszka Siedleckiego i Michała Wyszyńskiego, do pierwszej — pozostałych.

I tak, Maryan Wawrzeniecki jest artystą głęboko czującym i myślącym, widocznie jednak szamocze się z formą, jakby za mało miał sił do wypowiedzenia tego, co pragnie. Jego maleńki obrazek „Niewolnica," jest jednocześnie najlepszym, bo tworzy całość zupełną pod względem kompozycyi i wykonania. W przypadłej do ziemi nagiej kobiecie maluje się wybornie cała pokora i bezradność istoty, której los i życie zależy od jednego skinienia władcy. A ten siedzi i przygląda się groźnie, wahając się może między torturami a obdarzeniem jej swą pożądliwością.

Wyborneześrodkowanie światła na ciele z bardzo harmonijnem zestawieniem tła komnaty asyryjskiej, tworzy dzieło zupełnie dobre, zarówno pod względem malarskim, jak pomysłu.

Z tej ostatniej racyi ciekawym jest obraz p. t. „Aszczurnasirpal Król królów panuje," gdzie na prostopadłej ścianie łyska wykuto olbrzymią płaskorzeźbę, przedstawiającą króla, a poniżej tłumy nagie wiją się, męczone w najrozmaitszy sposób. Artyście chodziło zapewne o zestawienie takich kontrastów jak: wielkość i nędzny drobiazg ludzki, obojętność kamienia i cierpienia istot czujących, blask jaskrawy w górze i mrok, w którym giną setki ludzi itp.

Wszystko to jest zaznaczone, ale niezharmonizowane po malarsku. Górna, jaskrawo-pomarańczowa część obrazu kłóci się z dołem surowo-niebieskim, a banalny kolor ramy złoconej do reszty całość rozbija.

Co do „Legendy," to jest ona wielokrotnem powtórzeniem wypełzającego ze skały smoka do przykutej dziewicy. I Wawrzeniecki dał już nam dawniej szereg ciekawszych smoków, i inni tworzyli na ten temat nierównie artystyczniej, że przypomnę Boecklina albo naszego Pruszkowskiego.

Dziwactwa rzeźbiarskie Biegasa były dotychczas tylko dziwactwami, w których dało się czasem odszukać jakiś wysiłek oryginalny, obecnie jednak przechodzą już w nieznośny szablon, powtarzający się ustawicznie. Oto ulubiony jego przepis:

Weź słupek, na wierzchu jego przymocuj jakąś głowę manierycznie twardą, urągającą wszelkiej anatomii, ze zmrużonemi oczami i z ustami w „ciup" złożonemi. Możesz tę samą głowę jeszcze powtórzyć kilkakrotnie bądź u spodu słupka, bądź w inny sposób. Z boków słupka niech wyrastają dłonie lub choćby końce palców.

Albo: weź głowę, jak wyżej, resztę ciała okręć draperyą, którą wiatr szarpie w jedną stronę, a włosy porywa w górę w drugą. Jeśli gdzieś z kieszeni będzie jeszcze wyglądała dodatkowa głowa, to rzeźbę taką nazwiemy grupą.

W ten sposób można „komponować" przez całe lata, mając w zapasie takie piękne tytuły jak: Ostatni zachód słońca, Ostatnie promienie słońca, Świat, Wszechświat, Życie, Księga życia, Sfinks, Bóg, Anioł z dziecięciem, Potężny duch, Król grzechów, Chrystus, Pięć tajemnic, Przeczucie itd. A potem można te kartki dowolnie zmieniać bez żadnej szkody dla treści. Wszystko tu jednakowo drewniane, „sfinksowe," albo jednakowo gwiżdżące, z włosami fruwającymi ponad głową.

Gdy jednak Biegas przestaje chorować na wielkiego myśliciela i filozofa, wówczas potrafi zrobić wcale dobry portret np. p. Olgi Boznańskiej, pana H. T. lub dr. Miecznikowa. Każdy z nich ma swój charakter i żaden niema wklęsłych miseczek zamiast policzków, mimo że panna Boznańska należy do wyjątkowo szczupłych osób. Nikt wreszcie nie gwiżdże, uważając to widocznie za wyłączny przywilej „Sfinksów" i „Bogów," Ostatnich promieni słońca" i t. p.

Gdyby i Biegas uznał te gwizdania za wyłączną własność kompozytorów, którzy nie wpadają w bezmyślne szablony, ale potrafią w każdą pracę włożyć coś własnego, oryginalnego, tobyśmy może zyskali w nim dobrego rzeźbiarza portrecistę.

Gawińskiego Antoniego „Dola" mogłaby się stać dobrym obrazem, gdyby z fazy ogólnikowo, choć z kolorystycznem poczuciem, zamazanego płótna przeszła w stadyum pracy poważnie traktowanej.

Prace p. Wyszyńskiego tem się odznaczają, że nic nie oznaczają. Są to tektury z nieodzownym na około czarnym aksamitem, powalane farbą czarną lub żółtą i posypane złotym proszkiem metalicznym w kilku odcieniach.

Nazywa się to wszystko „Cyklem nad jeziorem."

Pan Siedlecki cokolwiek zbyt późno spostrzegł się, że przed dwudziestu kilku laty wynaleziono nad Sekwaną metodę malowania, polegającą na centkowaniu płótna czystemi barwami bez mieszania ich.

Nazwano to impresyonizmem, wibryzmem, pointilizmem lub confettizmem. Metoda ta miała wiele stron ciekawych, oddała pewne usługi sztuce malarskiej i wywołała nawet reformę techniki, ale sama już dawno znikła w tej formie, w jakiej ją p. Siedlecki wskrzesza. Nie chodzi mi o to, że towar ten już dawno wyszedł z mody, ale że jest bardzo niedołężnie stosowany.

Arcy-brzydki afisz tegorocznej wystawy jest też dziełem p. Siedleckiego.

Śród prac ciekawszych wyróżnia się oddzielna salka z rysunkami węglowemi Antoniego Kamieńskiego. Między innemi zwracają tu uwagę dwa portrety węglowe zręcznie podbarwione akwarelą. Jeden przedstawia art. rzeźb. Ottona, a drugi art. rzeźb. Bylewskiego.

W głównej sali, zawierającej po większej części prace lepsze, zwraca już z daleka uwagę portret damy, malowany przez Kazimierza Stabrowskiego. Jest to symfonia barw czerwonych oraz białych i jako taka jest silna i harmonijna. Plastyka duża, ale jest to raczej obraz, niż portret z zachowaniem podobieństwa.

Dobre krajobrazy, a przeważnie notaty krajobrazowe, dali w tym roku, jak zwykle, Trojanowski, Uziembło, Ziomek i Kowalewski.

Feliks Jabłczyński pod tytułem „Płodność" wystawił gąszcz jabłoni obsypanej niedojrzałym owocem. Jabłka te tłoczą się wszędzie: są na gałęziach, śród liści, a nawet cudem jakimś utrzymują się w przestrzeni bez gałęzi. Jest to studyum malowane jędrnie i plastycznie, a gdyby tylko nosiło taki prosty tytuł, byłoby pogardliwie traktowane przez wielu, że się zaś nazywa „Płodność," więc jest utworem symbolicznym, na równi z niezmiernie słabą i zabawną „Księżniczką na wietrze," lub „Rycerzem." Kilka fantastycznych widoków architektonicznych, wykreślonych niekiedy według równie fantastycznych zasad perspektywy, uzupełnia szereg prac Jabłczyńskiego, dość jednak ciekawych mimo swych usterek.

Portret rysunkowy państwa M. wykonany przez Zygmunta Badowskiego byłby dobrym, gdyby nie błędy perspektywiczne. Tło tak wyskakuje na plan pierwszy, że mężczyzna jest zgnieciony na papierek między ścianą a kanapą, po za którą nie wiadomo po co się dostał.

Ksawerego Dunikowskiego „Portret własny" w gipsie ma wiele wyrazu i miękkości, dziwnie jednak jest przylepioną do policzka dłoń wysunięta, nie wiążąca się z głową ani w kształcie ani w skali.

Jan Góralczyk wybornie podpatruje sceny z życia. Dwa konie, wlokące pod górę saneczki z drzemiącym chłopkiem są rzeźbą bardzo charakterystyczną i dobrze zaobserwowaną.

Na ogół biorąc, wystawa robi wrażenie dobre, choć bardzo niejednolite. Wykwintne jej urządzenie przyczynia się w znacznym stopniu do podniesienia efektowności.

W zeszłym roku zauważyłem, że siadanie przy tym samym stoliku kawiarnianym jest zbyt małą kwalifikacyą, aby zostać zaproszonym do udziału w wystawie, dziś zaś dodam, że i organizatorzy powinni uważać, by nie nadsyłać prac wykonanych, jakby na stoliku kawiarnianym.

Sierp.

NOWE KSIĄŻKI.

Z filozofii nauk przyrodniczych. Sześć wykładów wygłoszonych w auli uniw. w jesieni 1902 r. przez profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej: Maurycego Rudzkiego, Augusta Witkowskiego, Władysława Natansona, Leona Marchlewskiego, Tadeusza Garbowskiego i Maurycego Straszewskiego. Wydał i przedmową opatrzył dr. Maurycy Straszewski, zw. prof. filozofii w Uniw. Jagiel. Warszawa, 1904. E. Wende i Sp.

W książce tej, obejmującej 151 stron druku, znajdujemy sześć tematów, których same tytuły świadczą wymownie o żywotności i wartości naukowej zawartej w nich treści. Oto one: 1) O budowie kosmosu, M. Rudzkiego; 2) O eterze, A. Witkowskiego; 3) O teoryach materyi, W. Natansona; 4) Poglądy chemiczne na budowę materyi, L. Marchlewskiego; 5) Życie i wiedza, T. Garbowskiego i 6) Pomysły do syntezy, M. Straszewskiego.

W rozwijaniu powyższych tematów, które oprócz materyału faktycznego obejmują również wiele kwestyj natury teoretycznej, a raczej hypotetycznej, musiano uwzględniać najróżnorodniejsze, nieraz sprzeczne z sobą poglądy — każdy z autorów zastrzega sobie całkowitą swobodę w przedstawieniu własnych

zapatrywań na pewną dziedzinę najogólniejszych zagadnień.

Ale pomimo tej swobody pod jednym względem wszyscy są zgodni, mianowicie co do metody badań oraz uznania ściśle krytycznego stanowiska, jako jedynie w dzisiejszem przyrodoznawstwie możliwego.

W każdym wykładzie znajdujemy wiele zacytowanych przypuszczeń, wiele otwarcie podniesionych wątpliwości, wiele wykazanych w dzisiejszej naszej wiedzy braków. Po odczytaniu wszystkich spostrzegamy, na jakie wyżyny wzniosły się już badania przyrodnicze, jakie widoki dla umysłu ludzkiego odsłaniają się z tych wyżyn i ile tu jeszcze szczegółów zamglonych, niejasnych.

Oprócz wielkiej wartości naukowej, zagwarantowanej nazwiskami najlepszych sił filozoficznych Uniw. Jagiellońskiego, książka ta i tem jeszcze powinna zwrócić na siebie uwagę szerokich kół czytających, że dochód ze sprzedaży jej przeznaczony został na założenie muzeum przyrodniczo-dydaktycznego, mającego powstać przy krakowskim oddziale Towarzystwa polskich przyrodników im. Kopernika.

Słusznie bowiem wydawca i autor jednego z odczytów tak wstęp swój kończy: „Wobec znaczenia, jakie posiada dzisiaj wiedza przyrodnicza, nietylko pod teoretycznym względem, ale także i w kierunku praktycznego uzdolnienia jednostek do coraz to cięższej walki o środki do życia i społeczne stanowisko, mniemam, że nie potrzeba szeroko rozwodzić się nad wielką takiego muzeum doniosłością. Proszę więc usilnie, aby każdy niniejszej książki czytelnik, poświęciwszy jakąś chwilę czasu na rozważanie tych wielkich i trudnych zagadnień, które tu znajdzie poruszone, nie zapomniał również i o celu, do którego urzeczywistnienia niniejsza książka ma się przyczynić. Cóż może być wznioślejszego nad łączenie własnej, duchowej korzyści z dobrem i pożytkiem przyszłych pokoleń. Należy nam koniecznie myśleć o tem, aby te przyszłe pokolenia stawały się coraz twardsze i coraz opornicjsze, aby do walki o życie coraz dzielniej i skuteczniej były zaprawione. Do urzeczywistnienia zaś takiego celu jednym z środków najskuteczniejszych te niewątpliwie szerzenie wiedzy przyrodniczej. A więc proszę pamiętać o muzeum, które ma nosić imię największego z uczniów naszej wszechnicy."

Kazimierz Kulwiec.

— Kazimiera Zawistowska: **Poezye**, Lwów.

Jedyna pieśń młodo zmarłej poetki. Utwory przeczyste, napojone dziwną melancholią i smutkiem oparów, kładących się po znojnym dniu na pola. Bogata fantazya, zmysłowa a dziewicza, wypowiada się w formie kryształowej. Duch jej, pełen tęsknoty za nieznanem, wędrował „ścieżyną szarą od mroków, pod ciężką, od mgieł wilgotną, oponą obłoków" szukając „rozwianych wróżb białych stokroci." Królestwo jej było „nie na tej ziemi," słoneczne, jasne, pogodne krainy były jej ojczyzną, lecz ojczyznę tę zalały wody oceanu. Tylko „stłumiona gędźba" dzwonów płynie z tej krainy przez „fal obręcze." Jako zaczarowana królewna, oderwana od słońca, tęskni do niego i łaknie go. W uczuciu potężnem szuka ukojenia, pragnie „jako pragną rosy mrące kwiaty, zdeptane w gościńcowym pyle." Ciemno jej i zimno, woła i przyzywa — jego. Lecz ból nie milknie, niepokój nie gaśnie. Chwilę ulgi dają jej sny, które przekłada na drżące struny lutni. Marzenia swe haftuje na subtelnej tkaninie i woła ku nim: „idźcie z mej duszy— idźcie drogą mleczną po gwiazd gościńcu — a na wasze głowy deszcz niech upadnie—wonny, jaśminowy, budząc kapelę dźwięków napowietrzną." Lecz ten spokój trwa chwilę i mgła się rozwiewa. Z żalem i bólem młodości, schnącej od pragnienia, łka jej dusza: „Ja jedną miałam wiosnę złotą." To znów rozmodlona, rozkołysana melodyą stepów, zapomina o świecie całym i idzie za swą niebiańską wizyą i, śpiewając pieśni nad pieśniami, przestępuje próg nieskończoności.

Są dusze stworzone jakby do innego istnienia, ślepym tylko losem zaniesione na naszą ziemię. Trawi je wewnętrzne cierpienie, męczy tęsknota za czemś utraconem. Do nich należy dusza zmarłej poetki. Silny jej talent treść swą miał w tej tęsknocie, barwionej w kolory tęczy i zachodu słonecznego. „Lubię barwy przymglone, miękkie i spłowiałe, blade tęcze, rzucone w gotyckie arkady, i przesiany przez liście, lubię promień blady, którym słońce ozłaca tumy spustoszałe." Twórczość jej posiada niezwykłą moc snucia subtelnych wizyj, niekiedy mających wielką plastykę i siłę, np. w wierszu p. t. „Cmentarz." Język śpiewny, rozmarzony, pełen harmonii i delikatnego cieniowania, jeszcze więcej uwydatnia piękno jej poezyi. Poezya ta, bogata w istotną moc twórczości, wysnuta z niezwykle bujnej a dziecięco-czystej fantazyi, stanowi wielki skarb w naszej literaturze. Twórczyni odeszła w krainę nieznaną, lecz pozostawiła pieśni ciche, dum-...

— D-moll (Maryla Wolska): **Święto ognia**. Lwów, 1903.

Niezbyt łatwo zdać w paru słowach sprawę z czyjegoś utworu. Niepodobna uniknąć niedomówień pewnej niejasności, a jednak ten rodzaj sprawozdań ma tę dobrą stronę, że pozwala wyrazić krótko bezpośrednie wrażenie. Dlatego motywować nie będę, tylko szkicować. Trzeci zbiorek p. Wolskiej przedstawia już nietyle skończoną, co harmonizującą się twórczość. Skala jej nie jest zbyt rozległa, lecz szczera i przeważnie pełna uroku; ton tych wierszy, pomimo że nierzadko mówi się w nich o smutnych uczuciach, ma w sobie sporo słońca, i to słońca letniego; nie jest to żar południa, lecz jasne, wesołe promienie późnego poranka. Forma zewnętrzna z małymi wyjątkami jest zręczna, wiotka, najładniejsza tam, gdzie środki wypowiadania się są czerpane z poezyi ludowej. W całości czuje się młodość, nie tę młodość smętną, trawioną tęsknotą za czemś nieznanem a upragnionem, lecz młodość, budzącą się do życia, chciwie pijącą woń pól i lasów, świeżą, rodzącą się siłę życia, roztapiającą się w grze promieni słońca.

NA MARGINESIE.

Sztuka flamandzka. Sądząc z ilości wydanych w ostatnich czasach dzieł o sztuce flamandzkiej, zainteresowanie się tą epoką świetnego rozkwitu sztuk pięknych na północy coraz bardziej wzrasta. Urządzona przed paru laty wystawa jubileuszowa dzieł Van Dyka w Antwerpii, a szczególnie wystawa najdawniejszych artystów flamandzkich w Brügge 1902 r., dały pochop do prac źródłowych pierwszorzędnej wartości, jak np. Maxa Friedlandera „Meisterwerke der Niederlandischen Kunst im XV u. XVI Jahrhundert," Pawła de Mont „L'Evolution de la Peinture Neerlandaise au XIV, XV et XVI siecles," H. Hymans'a „L'Exposition des Primitifs Flamands à Bruges" itd. Teraz przed nami leży prospekt nowego, na szeroką skalę podjętego wydawnictwa, tej samej poświęconego epoce. Przedsięwzięło je zawiązane w roku bieżącym w Brügge stowarzyszenie dla wydania pamiętników sztuki flamandzkiej. Publikacya ta, obliczona na lat kilka, wychodzi w zeszytach miesięcznych p. t. „Les Anciens Arts de Flandre," pod kierunkiem artystycznym i literackim Kamila Tulpinck. Długi spis współpracowników wykazuje szereg nazwisk znakomitych estetyków i historyków sztuki całego świata. Nazwisk polskich w tej liście nie znajdujemy.

P. E.

Co jest trucizną w tytoniu. Ogólne przeświadczenie przypisuje własności szkodliwe tytoniu nikotynie, tymczasem pismo angielskie, *The Lancet*, wykazuje, że przyczyną ich jest kwas węglowy, który znajduje się również w drzewie niezupełnie zwęglonem. Nikotyna jest trującą i liście tytoniu zawierają ją, lecz nie jest dowiedzionem, żeby ta jej ilość, jaka przedostaje się do ust palącego, mogła spowodować zatrucie. Główne niebezpieczeństwo dla zdrowia ludzkiego przedstawiają, wytwarzające się wskutek niezupełnego spalenia tytoniu, gazy, olejki, mieszaniny aromatyczne, z których wiele jest truciznami powstającemi przy paleniu i wsiąkającemi w organizm w daleko większej ilości, niż nikotyna, znacznie też od niej szkodliwszemi. O obecności kwasu węglowego w dymie wiedziano dobrze, nie przypisywano mu jednak tego wpływu, jaki on istotnie posiada. Organizm wchłania go bardzo szybko, szczególniej przy zaciąganiu się, czem się wyjaśnia zatrucie stopniowe przy nadmiernem paleniu. Działanie fizyologiczne tak nikotyny, jak kwasu węglowego jest prawie to samo. Lecz w jednej uncyi tytoniu do palenia znajduje się 10 centylitrów kwasu węglowego, a nikotyny tymczasem nieskończenie mniejsza cząstka. Przypuszczenia powyższe potwierdziły doświadczenia z kroplą krwi, zebranej w ustach palącego po parokrotnem zaciągnięciu się dymem tytoniowym. Kropla wpuszczona do butelki, napełnionej wodą, zabarwiła się tak, jak się zazwyczaj zabarwia pod wpływem kwasu węglowego, którego też obecność wykazał spektroskop.

Woda morska źródłem życia. M. Perrier z Akademii nauk w Paryżu miał niedawno odczyt o ciekawych twierdzeniach Quintona, że jakoby zdaniem Haeckla woda morska jest naturalnem źródłem powstawania ciał pierwotnych, z których następnie tworzą się wszystkie inne, nie wyjmując rodzaju ludzkiego. Dotychczas ilość pierwiastków, wchodzących w skład ciał żyjących, oznaczona jest cyfrą 15; z tych 14, jak obliczył Quinton, znajduje się w wodzie morskiej. Prócz tego stwierdził on, że jeśli zwierzę przez utratę znacznej ilości krwi zostało doprowadzone do stanu wyczerpania, dość mu zastrzyknąć tyleż wody morskiej, co utraciło krwi, a odzyskuje siły, a po upływie 5 do 6 dni wraca do stanu normalnego. Quinton wstrzykiwał zwierzętom taką ilość wody morskiej, która ważyła więcej, niż ich ciężar, nie wyrządzając im żadnej krzywdy, gdy tymczasem obfitsze zastrzyknięcie wody czystej wywoływało natychmiastową ...

Z PRASY.

— A. Rudin w korespondencyi z Warszawy, drukowanej w *Now. Wrem.*, wypowiada następujące zapatrywanie:

„W liczbie różnych spraw bieżących, interesujących społeczeństwo miejscowe, nie ostatnie miejsce zajmuje kwestya wprowadzenia w kraju Przywiślańskim ogólnego prawa cywilnego. Za lat cztery przypada setna rocznica wprowadzenia do Polski kodeksu Napoleona; prasa polska, mówiąc już teraz o najlepszym sposobie uczczenia tego ważnego dla kraju wypadku, usilnie podkreśla konieczność zachowania kodeksu na przyszłość. Pomysł pozostawienia w Nadwiślu praw cywilnych, miejscowych dzieli widocznie i komisya do przejrzenia kodeksu cywilnego, obradująca w Petersburgu, skoro w jednym z jej projektów wyrażone zostało zdanie, że liczne osobliwości miejscowego prawa cywilnego nie pozwalają „tymczasem" na zupełne złączenie go z ogólnemi prawami Cesarstwa. Nie będziemy rozprawiali o specyalnej, prawnej stronie kwestyi, o tem, czy rzeczywiście osobliwości te są tak wielkie, żeby mogły służyć za przeszkodę do zaliczenia Nadwiśla do tych miejscowości, które obejmuje jurysdykcya przyszłego kodeksu cywilnego; nie będziemy również dowodzili przewagi aktu prawodawczego, opartego na doświadczeniach najnowszych, europejskich praw cywilnych, nad stuletnim kodeksemstarcem, którego nietrwała szata cała pokryta

jest licznemi, pstremi łatami-nowelami, które zupełnie zmieniły jego charakter pierwotny; ale nawet ze stanowiska historycznego i obyczajowego kodeks Napoleona nie zasługuje bodaj na zaszczyt zachowania go po wieczne czasy, jako świętości narodowej i skarbnicy osobliwości prawnych ludu polskiego. Prawa cywilne niepodległego Królestwa Polskiego, które obowiązywały do końca XVIII wieku i rozrzucone są po różnych statutach i konstytucyach, składały się głównie z przepisów niemieckiego prawa magdeburskiego i z praw ziemskich. Te ostatnie zachowały do końca swoje cechy narodowe polskie, jak np. bezgraniczność władzy rodzicielskiej, niepodzielność posiadłości nieruchomych, zależny stan kobiet itd. Bez względu na brak systematyzacyi tych praw i trudności zastosowania ich w praktyce wobec licznych sprzeczności, niedostatków i innych wad, prawa ziemskie tak się wszczepiły w obyczaje polskie, że po trzecim podziale Polski, rząd pruski w części Królestwa Polskiego, która mu się dostała, nie zdecydował się na zniesienie praw miejscowych i polecił sądom, aby je stosowały w dalszym ciągu, uciekając się do praw pruskich tylko wówczas, kiedy trafi się wypadek, nieprzewidziany przez prawa ziemskie. Po zawojowaniu Polski przez Napoleona I i utworzeniu Księstwa Warszawskiego, położenie rzeczy zmieniło się do gruntu. Jak wiadomo, wielki wódz mało krępował się warunkami obyczajowymi krajów, przez niego zdobytych i ,nadając Księstwu konstytucyę, w gruncie rzeczy przyłączył je do swego cesarstwa absolutnego. W samej konstytucyi, wydanej przez Napoleona d. 22 lipca 1807 r., niema zupełnie mowy o Polsce i Polakach. W celu poddania pod jeden i ten sam system rządowy wszystkich instytucyj na olbrzymiej przestrzeni cesarstwa, Napoleon nie wahał się znieść w Polsce wszystkich miejscowych praw cywilnych i zastąpić ich przez swój kodeks cywilny. Francuski tekst prawa został uznany za obowiązujący przed ogłoszeniem urzędowego tłomaczenia polskiego, które jednak do dziś dnia nie zostało wydane.

Nie mówiąc już o tem, że kodeks nikomu nie był znany, jego zasady demokratyczne równości wszystkich przed prawem i przeciwdziałania skupieniu posiadłości ziemskich w jednem ręku były zupełnie sprzeczne z tradycyami arystokratycznemi narodu polskiego, a przepisy, usuwające obrzędy kościelne przy urodzinach, małżeństwach i pogrzebach i wprowadzające rozwód cywilny, głęboko obrażały uczucia religijne ludności, wychowanej w tradycyach kościoła katolickiego. Wobec tego jest rzeczą naturalną, że według opinii współczesnych, wprowadzenie kodeksu było uważane za klęskę narodową i nie mogło być popularnem. Po przyłączeniu Księstwa Warszawskiego do Rosyi, jednym z pierwszych aktów sejmu było wydanie w d. 14 kwietnia 1818 r. prawa hypotecznego, znoszącego postanowienia kodeksu, dotyczące hypotek, przyczem podstawą ustawy było pruskie prawo hypoteczne, najbliższe zasad dawnej hypoteki polskiej. W r. 1825 na zasadzie uchwały sejmowej wydana została pierwsza księga kodeksu cywilnego, która zastąpiła tę samą księgę kodeksu Napoleona, różniąc się od niej przepisami o małżeństwie i przywracając dawny system polski. Wreszcie w r. 1830 zaproponowano sejmowi projekt zniesienia artykułów kodeksu, dotyczących rozwodu cywilnego i zmiany ich przez postanowienia, pozostawiające nadal sprawy rozwodowe władzy duchownej. Wyliczone przykłady wystarczają, aby dowieść nieprzystosowalności wielu części kodeksu Napoleona do obyczajów narodowych, polskich i braku związku jego z przeszłością historyczną Polski. Nawet teraz, po stuletniem niemal jego stosowaniu, kodeks tak mało przeniknął do świadomości narodowej, że liczne czynności prawne wśród ludu włościańskiego odbywają się na zasadzie prawa zwyczajowego, a nie odpowiednich artykułów kodeksu.

Nasuwa się pytanie, co powoduje prasą polską w tak uporczywej walce o nietykalność jego, jedynego może spadku po krótkotrwałem panowaniu Napoleona, w którym Polacy pokładali tak wiele nadziei, a który właśnie przez wprowadzenie kodeksu dowiódł im, jak mało się liczył z obyczajami i historyczną przeszłością Polski."

— *Gazeta Polska* przytacza następującą, w *Now. Wrem.* zamieszczoną cytatę z pisma angielskiego:

„Według ogólnego przekonania — pisze korespondent, Anglik, z Petersburga — które tu coraz bardziej i bardziej się rozpowszechnia, upadek Portu Artura powinien oznaczać koniec wojny. Urzędnicy, profesorowie, sędziowie, politycy, a nawet byli ministrowie jednogłośnie twierdzą, że interesy Rosyi wymagają natychmiastowego zawarcia pokoju z Japonią, jak tylko zostanie wzięty Port Artura. Bez osłonek oświadczają, że dalsze prowadzenie kampanii będzie tylko szeregiem zupełnie bezcelowych ofiar pieniężnych i ludzi. Domagają się pociągnięcia do odpowiedzialności tych ministrów, którzy przez swoją politykę wyzywającą stworzyli tę wojnę bezpożyteczną, przekształcającą się coraz bardziej w bezsensowne tępienie wojsk rosyjskich."

Komentując ustęp powyższy, redakcya dziennika petersburskiego wyraża zdumienie, że dwa narody, oddalone od siebie o dwa dni jazdy koleją, tak nie są w stanie zrozumieć się wzajemnie. Autor artykułu konstatuje, że w Petersburgu mieszka wielu Anglików, którzy korespondują prywatnie z Londynem i mogą być wiernymi tłomaczami nastroju społeczeństwa rosyjskiego, a pomimo to pisma angielskie zamieszczają stale informacye błędne, oparte w dodatku na złośliwych insynuacyach.

— Szeregowiec 10-ej roty pułku wschodnio-syberyjskiego, Wojciech Blitek, nadesłał z Korei, pod datą 1 maja, na imię ojca swego, Piotra, wójta gminy Wierzbno, w pow. Miechowskim, list, którego treść podał w przekładzie *Warsz. Dniewnik*:

„Kochani Rodzice! Wstępuję w progi wasze choć ze swym listem. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Przedewszystkiem donoszę Wam o swojem zdrowiu. Z łaski Boga Najwyższego jestem zdrów, czego i Wam z całego serca i duszy życzę. Witam Was, kochani rodzice, żegnam się z Wami i życzę wszystkiego najlepszego, czego tylko sobie sami od Boga Najwyższego i Jego Przenajświętszej Matki życzycie. Wychowaliście mnie na swem łonie rodzicielskiem, gdzie nigdy niczego przykrego nie doświadczałem. Lecz oto teraz dowiedziałem się, co to jest nieszczęście... Przypuszczam nawet, że już więcej nie zdarzy się nam zobaczyć, albowiem tej nocy otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia do boju: zatrzymali nas niewiadomo z jakiego powodu, ale jeśli nie dziś, to jutro wyruszymy. Dywizya nasza przeznaczona jest do przedniego łańcucha, a to znaczy na pierwszy ogień. Nawet sam generał mówił, że miejsce nasze jest najtrudniejsze. Tak, kochany ojcze i matko, bieda teraz taka, że nie daj Boże! Chleba brak i niema go z czego upiec. Żywimy się kukurydzą. Wszystko strasznie drogie. Funt chleba kosztuje tu 30 kop., przytem niema go gdzie kupić, funt cukru kosztuje 40 kop., a w marszu płaciliśmy po 60 kop. za funt. Funt mydła 20 kop., a funt słoniny 50 kop. Jechaliśmy tu koleją z Żytomierza 47 dni i nocy, a oprócz tego szliśmy 12 dni. Pieszo szliśmy ciągle przez góry i wielkie rzeki. Przez rzeki przechodziliśmy po pas i piersi w wodzie. Teraz zaś stoimy w odległości 5 wiorst od nieprzyjaciela. Staliśmy najpierw w namiotach, lecz co noc budzili nas po trzy razy na alarm, a teraz w dzień i w nocy musimy być przygotowani i nie rozbierać się. A więc po raz ostatni kłaniam się Wam, kochany ojcze i matko, kłaniam się też wam, kochani bracia i siostry, i wszystkim domownikom, a także krewnym i znajomym. Niechaj Bóg ma was w Swej opiece, a o mnie nie zapominajcie prosić Boga, ażeby dał mi siłę do zniesienia tej klęski i wytrzymania do końca. Sam nie mam nawet czasu myśleć o tem wszystkiem, przytem trudno jest przypuścić, ażebym mógł jeszcze raz z Wami porozmawiać. Całuję Was serdecznie. Nie zapominajcie o mnie."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Z Petersburga donoszą, że z ramienia rządu wyjeżdża do Argentyny kilku urzędników w celu zbadania położenia wychodźców z państwa rosyjskiego i w razie potrzeby ułatwienie im powrotu. Prócz tego, z powodu trudności osiedlania wychodźców w kraju Usuryjskim i Syberyi Wschodniej, zamierzono wysyłać ich na ziemie skarbowe w kraju Zakaukazkim, na wybrzeża czarno morskie, wzdłuż granicy tureckiej

— *Warsz. Dniewnik* donosi: „W czasie gaszenia pożaru w składach Spiessa na ulicy Grzybowskiej, tłum gapiów nie chciał się rozejść i począł rzucać kamieniami w strażaków i policyantów, przyczem zraniono 10 ludzi. Wezwana przez telefon pół secina kozaków spotkana została dwoma wystrzałami i gradem kamieni, którymi zraniono kilku kozaków. Wtedy ci dali salwę i tłum, składający się z łobuzów przedmieścia wolskiego, rozproszył się, pozostawiwszy na miejscu kilku ranionych. Od kamieni ucierpiała też karetka Pogotowia Ratunkowego, w której wybito wszystkie szyby."

— W Mińsku powstało Towarzystwo pomocy dla ubogich, chorych chrześcian, założone z fundacyi p. Lubańskiej, obywatelki ziemskiej.

— W *Kur. Warsz.* czytamy: „D. 4 b. m. odbyło się walne zgromadzenie Macierzy szkolnej Księstwa Cieszyńskiego. Wywołała je rezygnacya dotychczasowego zarządu, który uczuł się dotknięty uwagami, nadesłanemi przez grono warszawskich członków honorowych Macierzy. Dyskusya, nader ożywiona, doprowadziła do podniecenia, którego punktem kulminacyjnym było wyjście trzeciej części obecnych z sali obrad. Zarząd, któremu wyrażono uznanie, zgodził się wreszcie na dalsze prowadzenie spraw Macierzy, aż do najbliższego zgromadzenia walnego, oraz postanowił prowadzić rokowania, celem wyjaśnienia stosunku z członkami warszawskimi."

— Po wielkich stratach, poniesionych przez przedsiebiorców budowlanych w Wiedniu, roboty rozpoczęły się nanowo.

— *Dziennik polski* donosi: „Wychodźcy galicyjscy, którzy wyjechali do Prus na roboty, wracają o chlebie żebraczym. Cała partya robotników z Zaleszczyk zgłosiła się do policyi przemyskiej, prosząc o odstawienie do miejsca zamieszkania. Byli oni tak wycieńczeni głodem, iż na nogach utrzymać się nie mogli. Zdjęci litością żołnierze policyi dali im kilkanaście bochenków chleba, a komisarz zakupił dla nich kilka litrów mleka."

— Obywatelowi Sulmierzyc, w Poznańskiem, nie pozwolono zapisać w aktach stanu cywilnego i ochrzcić córki imieniem Wiesławy pod pozorem, że imię ma znaczenie podburzające i drażni uczucie niemieckie, gdyż pochodzi od „Wisły," która dla patryotów polskich ma takie samo symboliczne znaczenie, jak Ren dla Niemców.

Szkoły i wychowanie. Wydane zostały następujące przepisy o egzaminach wstępnych. Kandydaci do średnich zakładów szkolnych, którzy przy egzaminach wiosennych otrzymali jeden stopień niedostateczny, mogą być dopuszczeni w tej samej szkole do egzaminu ponownego po wakacyach, lecz ze wszystkich przedmiotów danego kursu, z wyjątkiem tych, z których przy egzaminie pierwszym otrzymali nie mniej jak 4. Do powtórnego egzaminu wstępnego przystępować także mogą i ci, którzy nie zdali przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego, powtórzenie jednakże w tych okolicznościach odbywać się powinno nie prędzej, jak w styczniu roku następnego, przyczem kandydaci tej kategoryi poddawani być mają egzaminowi i z wykładów rozpoczętych w danej klasie.

— Tow. lekarskie zawiadamia, iż z początkiem roku akademickiego zawakuje sześć stypendyów z zapisu dr. W. Koczorowskiego, po 300 rb. rocznie dla młodzieży, poświęcającej się studyom lekarskim, z pierwszeństwem *a*) dla Koczorowskich; *b*) Chilewskich, synów i ich następców z linii prostej Stanisława Chilewskiego, w Galicyi zamieszkałych; *c*) Strojeckich,

synów po Adolfie Strojeckim i ich następców; *d)* Lechowskich, synów i ich następców po Kacprze Lechowskim; w braku kandydatów z wyszczególnionych imion — stypendya nadane będą innym pilnym studentom medycyny, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego. Również z początkiem roku wakować będzie stypendyum w sumie rb. 207 rocznie z legatu dr. J. Gołębiowskiego dla studenta wydziału lekarskiego, krewnego zapisodawcy, lub w braku takiego, dla niezamożnego słuchacza medycyny w uniwersytecie warszawskim. Kandydaci powinni wnieść odpowiednie podania do Tow. lekarskiego (Niecała 7) do 15 września, z dołączeniem świadectwa i treściwego *curriculum vitae*.

— Od przyszłego roku szkolnego powstaje w Warszawie nowa szkoła techniczna A. Łaguny i inż. Chwrajewicza, której program obejmuje naukę mechaniki, przemysłu chemicznego, budownictwa i młynarstwa, podzieloną na 2 klasy ogólno-kształcące i 3 specyalne. Do klasy I przyjmowani będą kandydaci w wieku lat 7—16, do III — uczniowie z drugiej klasy szkoły miejskiej lub III średniej. Zapisy przyjmuje kancelarya szkoły, Świętokrzyska 25.

— Na I kursie Instytutu technologicznego w Petersburgu jest tylko kilka miejsc wolnych; przyjmowani będą studenci, którzy otrzymali na egzaminie konkursowym najwyższą sumę stopni, 22³/₄ na wydziale mechanicznym, 22¹/₄ na wydziale chemicznym.

— Nauczycielom szkół początkowych przyznano prawo zdawania egzaminu skróconego na stopień ucznia aptekarskiego.

— Reforma średnich zakładów szkolnych, rozciągnięta na pierwsze pięć klas gimnazyalnych, z początkiem nadchodzącego roku szkolnego wprowadzona będzie i do klasy szóstej, w której zniesiony zostanie język grecki, a zaprowadzone nauczanie dwóch języków nowożytnych.

Wiadomości naukowe. W jesieni r. b. powstaje w Petersburgu biuro, które za opłatą ma dostarczać każdemu kopij wszelkich dzieł i rękopisów znajdujących się w muzeach petersburskich i bibliotece Cesarskiej.

— Następcą Piotra Chmielowskiego na katedrze literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, mianowano prof. Kallenbacha.

— Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego wybrano prof. Napoleona Cybulskiego.

Literatura i prasa. W Petersburgu ma zacząć wychodzić z początkiem jesieni pod redakcyą wiceministra W. J. Kowalewskiego, gazeta *Wiek XX*, poświęcona głównie sprawom [illegible]

Ze sztuki. Za pośrednictwem Koła Architektów ogłoszo konkurs na projekt domu dla Tow. gazowego. Nagród pięć: 1,200, dwie po 700, i dwie po 500 rb. Termin do 18 lipca r. b. Bliższych objaśnień zasięgnąć można w redakcyi *Przeglądu technicznego*.

Zdrowie publiczne. Na międzynarodowym zjeździe przeciw-gruźliczym w Kopenhadze uchwalono mianowanie dla każdego państwa delegata, którego obowiązkiem mają być zabiegi około wprowadzenia elementarnej nauki hygieny do szkół oraz egzaminów z hygieny w uniwersytetach.

— Wstyczniu r. p. odbędzie się w Petersburgu wystawa, urządzona staraniem Towarzystwa ochrony zdrowia kobiet.

Sprawy ekonomiczne. *Warsz. Dn.* ogłasza, iż petersburski wydział ekonomii i statystyki rolnej zajęty jest opracowaniem sprawy pomocy państwowej dla drobnego przemysłu włościańskiego w guberniach, nieposiadających ziemstw, przyczem ma ona być wzorowana na pomocy technicznej i ekonomicznej, już zastosowanej w guberniach ziemskich. Jako materyał do opracowania tej sprawy służą dane, zebrane przez urzędników ministeryum rolnictwa i dóbr państwa w czasie ich delegacyi do kraju północno-zachodniego i Królestwa Polskiego, w celu zapoznania się ze współczesnem położeniem drobnego przemysłu włościańskiego. Dla udoskonalenia rzeczonego przemysłu w guberniach, nieposiadających ziemstw, między innemi uznano za konieczne upoważnić Towarzystwa rolnicze do zakładania kuratoryów tego przemysłu i tworzenia posad instruktorów, których działalność zależna będzie od wskazówek kuratoryów tak, aby wszelkie zapomogi i pożyczki melioracyjne ministeryum rolnictwa na potrzeby drobnego przemysłu włościańskiego były wydawane za zgodą Towarzystw rolniczych.

— W jesieni r. b. Towarzystwo hygieniczne urządza w Warszawie wystawę gospodarstwa domowego.

— W „Zbiorze praw" ogłoszono, że z początkiem roku przyszłego miasta Królestwa Polskiego uwolnione będą od opłat i zasiłków na utrzymanie zarządów centralnych ministeryum spraw wewnętrznych.

— Według sprawozdania departamentu podatków niestałych za rok 1904 Królestwo Polskie dało dochodu z opłat z trunków 2,582,038 rb., ze skarbowej sprzedaży trunków osiągnięto 31,713,505 rb., podatek akcyzowy z cukru 13,876,289 rb., podatek akcyzowy z tytoniu 1,570,986 rb., akcyza z nafty 943,336 rb., akcyza z zapałek 228,889 rb. i dochody z nieruchomości zarządów akcyzy wynosiły 3,978 rb. Wogóle w r. 1902 z Królestwa Polskiego wpłynęło opłat akcyzy 50,920,121 rb., a w porównaniu z r. 1901 dochody te zwiększyły się o 3,164,638 rb.

— Departament rolnictwa opracował projekt ustawy o miejscowych biurach wywiadowczo-komisowych, których celem ma być: popieranie gospodarstw rolnych i związanych z niemi przedsiębiorstw drogą wskazówek pożytecznych i pośredniczenie pomiędzy nabywcą a sprzedawcą wszelkiego rodzaju wyrobów rolniczych i drobnego przemysłu włościańskiego. Według projektu, działalność biura rozpada się na wywiadowczo-doradczą i komisyjną.

— W Grodzisku otworzono sklep spółki rolniczo-spożywczej, do której zapisało się 80 okolicznych gospodarzy rolnych.

— W Skierniewicach organizuje się spółka rolnicza handlowa; wysokość udziałów oznaczona na 10 rb.

— Zatwierdzone zostały przepisy dla wystaw rolniczych, urządzanych przez Towarzystwo płockie. Wystawy mają na celu: badanie stanu rolnictwa i oddzielnych jego gałęzi, zaznajamianie rolników z ulepszeniami i ułatwianie zbytu produktów; urządzenie odczytów i pogadanek rolniczych, doświadczeń, konkursów oraz zwiedzanie gospodarstw wzorowych. Pierwsza wystawa odbędzie się w roku przyszłym w Płocku, następne kolejno w Rypinie, Ciechanowie, Lipnie Mławie, Sierpcu i Przasnyszu.

Koleje i komunikacye. Przy zarządach kolei skarbowych postanowiono otworzyć początkowe kursy elektrotechniki.

— Na międzynarodowej konferencyi kolejowej w Kopenhadze uchwalono wprowadzić bezpośrednie pociągi osobowe między Warszawą a Lwowem.

— Na zjeździe inżynierów kolejowych powstał projekt utworzenia sądu honorowego maszynistów, dla spraw pozasłużbowych, jak złe prowadzenie się, postępki nieuczciwe, skrzywdzenie towarzysza pracy, złe obchodzenie się z podwładnymi i wszelkie inne nieporozumienia koleżeńskie.

Pożary. D. 6 b. m. spaliła się część handlowa miasteczka Korotyszew w gub. Kijowskiej, oraz kilkadziesiąt sąsiednich zabudowań włościańskich.

Zmarli. Aniela Chlebowska, autorka wielu prac dla ludu i młodzieży, w Warszawie.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Іюня 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.